

K A T O R Ż N I K

80,

KATORŻNIK

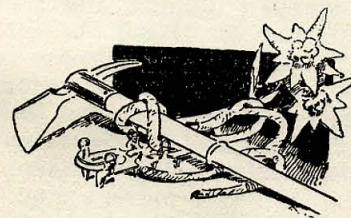
CZYLI

PAMIĘTNIKI SYBIRAKA

NAPISANE PRZEZ

JANA SIWIŃSKIEGO

zesłanego w roku 1863 na ośm lat do robót katorżnych w kopalniach
Nerczyńskich, kraju Zabajkalskiego w Syberyi.



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1905

Hh



128676



Drukarnia „Czasu“ w Krakowie
pod zarządem A. Świerzyńskiego.

WSTĘP.

Ach! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Kto swej strawy łzą nie zrosił,
Nie przetęsknił, długich nocy.

Kto w pól dzikim, podłym tłumie
Nie włókł ciężkich dni niedoli,
Ten nie pojmie, nie zrozumie
Jak jest gorzki chleb niewoli!

Po latach dopiero czterdziestu postanowiłem wydać moje pamiętniki o Syberji, aby mój ośmioletni pobyt w tym kraju boleści i nabyte wiadomości, odnoszące się tak do położenia naszego jako wygnańców, jako też opisu kraju, klimatu i ludów tamiecznych, ich kultury i religii, nie poszły na marne.

Przez lat czterdzieści czekałem, czyli kto z mych ówczesnych kolegów, zdolniejszych odemnie, nie wystąpi i nie ogłosi drukiem tych tak pod każdym względem ciekawych rzeczy — lecz czekałem na próżno!

Widząc jednak z jaką ciekawością społeczeństwo nasze czytało opis o Syberji podróżnika i turysty Kennana, nabrałem otuchy i postanowiłem ogłosić wszystkie te wrażenia, których doznałem od dnia dostania się do niewoli pod Ratajami w roku 1863, aż do powrotu mego z Syberji w roku 1869.

O roku 1863 nie będę się rozpisywał, gdyż to już wielokrotnie uczyniono przedemną. Rok ten bowiem wrył się w pamięć całemu narodowi polskiemu i niema chyba piędzi ziemi, któraby nie przesiąkła krwią męczenników wolności!

Ile to wówczas usypano mogił, ile krwi wyciekło, a ile łez wypłynęło!... Ile to rodziców utraciło synów, ile żon mężów — ilu to od kul poległo, a ilu zasiiekano na śmierć!

Ilu na szubienicach zawisło, ilu na stepach i tajgach sybirskich pomarzło. O! tego żaden historyk udowodnić nie potrafi, bo tych wszystkich mąk i okropieństw był tylko świadkiem sam Bóg!

Męki i niedole, wycierpiane i przebyte w r. 1863 i następnych lat w syberyjskich katorgach, utkwiły mi tak silnie w pamięci, że dzisiaj, pisząc o nich, uprzedmiotwiam sobie każdą chwilę przebytych cierpień z taką dokładnością, jakby to działo się dopiero wczoraj, a jednak temu już z górą lat czterdzieści, a bieg życia mojego ku wieczorowi się już zbliża!

Nim jednak umrę, chciałbym jak Rufin Piotrowski, albo Ugolin „wypłakać me dzieje“. Jednak pióro me nieudolne nie potrafi oddać tego, co serce czuje, przeto proszę o pobłażliwość tych, którzy będą czytać te moje pamiętniki, pisane nie dla filozofów ani w ogóle osób uczonych, lecz pisane dla patryotów, którzy gorąco umiłowali sprawę narodową. Ponieważ obrachunek z wrogiem dotąd nie skończony, przeto niechaj będą one przypomnieniem dla młodzieży, że śmierć lepsza od niewoli!...

Skromną tę moją pracę składam u stóp ołtarza ojczyzny ku czci i pamięci tych, którzy za idee wolności ponieśli śmierć w roku 1863, a zarazem tych moich kolegów i współtowarzyszy niedoli, z którymi odbywałem ową straszną podróż w kajdanach, tudzież katorżne roboty w kopalniach Sybiru. Tylko cierpienia należą do człowieka, reszta — do ogółu!

Autor.

ROZDZIAŁ I.

P a r t y z a n t.

Od dzieciństwa mego byłem i jestem entuzystą.

W ósmnastym roku mego życia zapisałem się jako ochotnik w powstańcze szeregi roku 1863 i, jakkolwiek nie miałem dokładnego pojęcia ani o sprawie narodowej, ani o patryotyzmie, to jednak coś mnie parło i wyganiało z domu w daleki i szeroki świat; to też bez pożegnania z rodzicami uciekłem z domu i wraz z niejakim Arteckim i Kollerem udałem się do Jasła, skąd nas odstawiano od dworu do dworu aż do państwa Jarockich w Podgrodziu pod Dembicą.

Dom państwa Jarockich, był to dom prawdziwie staropolski: zacny, gościnny i patryotyczny. Na tej kwaterze w liczbie około dwudziestu, przebywaliśmy przez dni czternaście, ćwicząc się w strzelaniu, w szermierce i robieniu bronią.

W dzień odjazdu do obozu — pamiętam jak dziś — stary pan Jarocki żegnał nas ze łzą w oku i ubolewał, że dla podeszłego wieku sam nie może nam towarzyszyć, ani syna wysłać (gdyż ten był kulawy i chodził na szczudle). Zato miał pan Jarocki trzy nadobne córki, które ofiarował dać nam za żony, jeśli się po ich rękę zgłosimy jako wybawiciele ojczyzny. Chociaż ciężkie

były warunki, jednak każdy z nas chciał być bohaterem i okryć się laurami sławy, aby tylko uzyskać rękę jednej z nadobnych panienek.

Homo proponit, Deus disponit — powiada stare przysłowie — i nam się podobnie wydarzyło: ja sam jeden cudem Opatrzności wyszedłem cało z tej potrzeby, a reszta mych towarzyszy poległa.

Z Podgrodzia udaliśmy się na punkt zborny w lasy nadwiślańskie.

Komendantem oddziału, który się formował, miał być Jordan; a ponieważ obawiano się, aby w czasie przeprawy przez Wisłę Moskale całego oddziału odrazu nie rozbili, przeto podzielono go na trzy partye, by w razie rozbicia jednej przez Moskali reszta ocalała.

Cały oddział składał się z tysiąca żołnierzy, rekrutujących się przeważnie z wojska austriackiego. Ja dostałem się pod tymczasową komendę Chruściakiewicza, który naszą partyę miał przeprowadzić przez Wisłę aż do lasów Świętokrzyskich. Po ewentualnem zaś połączeniu się owych trzech oddziałów w lasach Świętokrzyskich, miał objąć nad tą całą siłą zbrojną główne dowództwo Jordan. Nocą tedy zebraliśmy się w lesie prawdopodobnie chorzelowskim, własności hrabiego Tarnowskiego; tu otrzymaliśmy broń i umundurowanie. Broń była nowiuteńka; były to sztucce belgijskie z szerokimi bagnetami; uniformy zaś były: bluzki siwe biało szamerowane i burki obozowe.

Oddział nasz składał się z 300 piechoty i 60 kawaleryi. Z oficerów Polaków, którzy zbiegli z wojska austriackiego pamiętam, kapitana Monsse, Darowskiego i Matuszkiewicza. Gdy kapitan Monsse rozdał nam broń i, o ile to możliwem było, poformował kompanie i oddziały, udaliśmy się ku Wisłę w celu przeprawy. Skoro stanęliśmy nad brzegiem, zaczęło dnieć. Kawalerya wjechała do wody; by zrekonoskować dno;

lecz gdy się pokazało, że Wisła w tem miejscu jest dość głęboka, powstało pewne zamieszanie, które kto wie jak długo byłoby trwało, gdyby był ktoś nie krzyknął: „Austriacy!”

I jak przedtem z namysłem, tak potem na oślep pechano się we wodę w butach, w ubraniu, jak kto stał; mali chwyтали się końskich ogonów, grzyw; czepiali się jak polipy, zbijali w kupę po dziesięciu, szamocząc się i brnąć najpierw po pas, po piersi, a nakoniec po szyję, gdyby nie ratunek kawaleryi, to nie obesłoby się było bez zatonięcia.

Tak stoczono pierwszą potyczkę z wodami Wisły!

Po takiej niefortunnej przeprawie, trzeba było poświęcić nieco czasu, aby każdy swą odzież mógł wykręcić z wody i osuszyć na słońcu, gdyż w takich warunkach nie można było maszerować swobodnie, a cóż dopiero się bić!

Ci co byli wysokiego wzrostu, lub starzy wyjadacze wojskowi, pamiętali o amunicyi i takową zawiesili na szyi, lub trzymali w zębach; lecz niestety, takich było mało, reszta zamoczyła całą amunicję. Wobec tego o przyjęciu bitwy chyba mowy być nie mogło. Gdyśmy się po tej kąpieli suszyli na słońcu, przyjechał jakiś jegomość z okolicy — patryota czy zdrajca, tego po dziś dzień nie wiem — i oznajmił nam, że nieopodal stoją dwie rotty piechoty moskiewskiej; radził więc, aby zaraz natrzeć na nich i zgnieść, zdusić, porąbać i posiekać, gdyż wobec takiej potęgi, jak nasza, dwie rotty moskiewskie są niczem.

ROZDZIAŁ II.

R a t a j e.

Jak nasza organizacya powstańcza była lichą, dowodzi fakt, który potem został przez nas sprawdzonym, że Moskale istotnie przez 14 dni oczekiwali przy Wiśle poza wałami ochronnymi naszego przybycia i że właśnie tejże nocy ustąpili i obsadzili stodoły poza wsią położone, bo woleli walczyć i strzelać ze stodół i z poza węglów, niż w czystym polu się narażać.

Na zakłęcia tedy owego jegomościa i upewnienia, że w owych stodołach znajdują się tylko dwie rotę Moskali, którzy ledwie dyszą ze strachu przed nami, dowódca nasz wydał rozkaz, aby owe dwie rotę rozbić. Ruszyliśmy tedy pewni zwycięstwa i zaczęli atakować owe stodoły z Moskalami, aleć nie szło nam to tak łatwo, gdyż Moskale prażyli rotowym ogniem ze stodół, z za węglów, a sami byli bezpieczni. Dowódca, chcąc Moskali czempredziej wykurzyć wezwał na ochotnika do podpalenia stodół. I patrz! na ochotnika pobiegli na wyścigi i już nawet poczęli rzucać palące się głównie na stodoły — lecz wszyscy ci bohaterowie przepłacili życiem swą odwagę i wszyscy po bohatersku polegli! Tam to poległ bohaterski młodzieniec, hrabia Tarnowski, hrabia Lewartowski i wielu, wielu innych, których tu nie wyliczam.

Tu muszę nadmienić, że Moskale, jak już wspomniałem, umyślnie z wałów wiślanych cofnęli się do stodół, gdyż myśleli że cały nasz oddział z tysiąca ludzi złożony, będzie się przeprawiał naraz; a wtedy bylibyśmy ich rozbili niezawodnie. Dlatego też posłali po pomoc do miasteczek: Stobnicy i Staszowa. Gdy my ciągle usiłujemy Moskale ze stodół wywabić i ciągle ponawiamy ataki, wtem dwie sotnie kozaków i dwa szwadrony dragonów, jedni z prawej a drudzy z lewej zajeżdżają strony, a zaś z tyłu na podwodach wali sześć rot wojska: wówczas zrozumieliśmy, że tu niema żadnego wyboru, tylko pewna śmierć.

Gdybym nawet posiadał taki talent, jak Sienkiewicz, to i tak nie pokusiłbym się odmalować tej grozy, tej desperacyi, jaka nas ogarnęła!

Dowódca nasz dał rozkaz do odwrotu, a ponieważ w pobliżu był las, przeto tam szukaliśmy schronienia przed kulami; ale że i tu śmierć zaczęła gęsto kosić, przeto rozpoczęła się formalna ucieczka w kierunku Wisły, dokąd każdego z nas parł instynkt samozachowawczy. Moskwa w zwartej kolumnie i w półkolu postępowała za nami, strzelając nieustannie frontowym ogniem; trupy padały co krok, jęki rannych i upadających były przerażające, kule świstały i rozdzierały powietrze złowrogo — słowem była to straszna godzina, godzina naszej zagłady!

Zdziesiątkowani i sromotnie rozbici, dobiegliśmy nareszcie do wsi Rataje. Wieś Rataje jest to kolonia zamieszkała przez Niemców, o czem myśmy oczywiście nie wiedzieli jako Galicyanie. Wódz nasz wezwał nas, aby skoro mamy zginąć, drogo życie opłacić; kazał się rozstawić poza węglami domów; strzelać i mordować Moskale, dokąd tchu w piersiach. Tymczasem większość myślała inaczej, myślała, że skoro wliże do stogu, w kopę siana, na dach i rozmaite zakamarki to będzie

uratowaną. Niestety! nawała Moskali zalała place, podwórza, ogrody i pola i rozpoczęło się polowanie na upatrzonego: kto był w ukryciu, tego wskazali kolonisci, a żołdactwo pędziło jak oszalałe od kopy do kopy, klując bagnetem kopy, z których wówczas wyłazili nieszczęśliwi męczennicy i konali dobijani u stóp wroga!

Ja otoczony hurmem Moskali, tyle tylko pamiętam, że jakiś Moskal z bokobrodami złożył się do pchnięcia mnie bagnetem i widziałem, jak się odsadził i jak wpakował cały bagnet aż po łufę w moje piersi. Od tej chwili nie już nie widziałem, przestałem żyć moralnie; moralnie byłem umarły i jakby przez sen tylko mi się zdaje, żem słyszał rozkaz oficera: „Nie tróń!“ Żem dotychczas przy życiu, zawdzięczam to dwom okolicznościom a mianowicie: najpierw własnemu instynktowi samozachowawczemu, żem w owej krytycznej i błyskawicznej chwili podolał schwycić za bagnet przy łufie i nadać mu inny kierunek, tak, że otrzymałem tylko lekką ranę na lewym boku, oraz temu magicznemu słowu: „Nie tróń!“

Oprzytomniałem dopiero wtedy, gdy mnie jakieś ręce rzuciły na ziemię, wówczas otworzyłem oczy i zobaczyłem, że jestem w pośród innych w stodole, która już była po brzegi naładowana jeńcami naszymi, a na boisku leżało kilkunastu rannych Moskali w kałużach krwi. Leżąc tak w stodole wraz z innymi, słyszałem ciągłą strzelaninę i jęki rannych, a do tej grozy wojennej przyłączyła się groza nieba, które, chcąc zagłuszyć strzelaninę ludzką, zesłało burzę z piorunami i strasznym huraganem.

Była to okropna chwila: ludzie strzelali i niebo strzelało, stodoła trzęsła się i trzeszczała od wichury!... Wówczas Moskwa przestała strzelać, a zaczęła się modlić. Trwało to z godzinę. Gdy się burza uciszyła, zabrała się Moskwa do nas, obdzierając ze wszystkiego,

co kto posiadał wartościowego, a gdy tego niestało, zabrano nam, cośmy mieli na sobie tak, że zaledwie zostały nam koszule!

W takim uniformie ustawiono nas w szeregi i otoczono wojskiem: mieliśmy odejść do Stobnicy. Lecz właśnie wówczas zaszło coś strasznego! Oto jeden z naszych, ranny w nogę, nie mógł iść i trzeba było mu dać podwodę, gdy to oficerowi zameldowano, kazał owego rannego, tuż o 20 kroków od nas, rozstrzelać! Widziałem tego delikwenta: był to mężczyzna 25-letni, miał żółty zarost brody, obdarty był do koszuli; tylko koszula webowa z monogramem świadczyła, że to był ktoś z inteligencji. Dusza w nas zamarła na ten barbarzyński czyn oficera i owo strasne słowo; *rozstrzelał!* Jakoż w okamgnieniu wystąpiło trzech żołnierzy: zmierzili, strzały padły i ów męczennik zwałił się na ziemię! Lecz nie na tem jeszcze koniec, przystąpili owi żołdacy i dobili go! I widziałem ich bagnety zanurzone w ciele ofiary i słyszałem chrzęst przekłuwanego ciała i więcej już nie widziałem, bom sam był jakby nieżywy od tej strasznej grozy! Kto był ten nieszczęśliwy męczennik, o tem od nikogo nie mogłem się dowiedzieć: śnać jego znajomi przed nim wyginęli. — Cześć jego popiołom!

Po tej barbarzyńskiej egzekucyi, pognano nas przez Pacanów do Stobnicy, gdzieśmy nocowali w jakiejś szopie. Na drugi dzień ruszyliśmy do Staszowa. W Staszowie widziałem hr. Tarnowską, matkę poległego syna, która przyjechała po zwłoki dziecka swego. Skoro między poległymi nie rozpoznała swego syna, podążyła za nami, by się od kogo dowiedzieć, jaką śmiercią i gdzie poległ jej syn. Później dowiedzieliśmy się, iż młody Tarnowski tak był posiekany, że istotnie trudno było na zwłokach rozpoznać postać ludzką! On był między pierwszymi ochotnikami, którzy usiłowali

zapalić stodołę z Moskalami, padł ciężko ranny tuż obok stodoły, gdzie go Moskale rozsiekali.

Tak tedy z owych 300 piechoty i 60 kawaleryi pozostało nas przy życiu wziętych do niewoli 94, a reszta — wyginęła.

Wiadomo już dawno całemu światu, że to, co się stało z naszym oddziałem, stało się i ze wszystkimi oddziałami powstańczymi. Owa cała wyprawa młodzieży w roku 1863 na zdobycie ojczyzny, podobna jest do owej średniowiecznej wyprawy dzieci na zdobycie ziemi świętej! Tu porywał młodzież patryotyzm narodowy, tam zaś fanatyzm religijny.

ROZDZIAŁ III.

K i e l c e.

U podnóża gór Świętokrzyskich w romantycznej, cudownej okolicy, leży miasto Kielce. Do tego to miasta prowadzili nas Moskale, a był to tryumfalny pochód! wojsko podbite za zrabowane pieniądze śpiewało do taktu, a muzyka wygrywała marsz tryumfalny. — O! bohaterowie cara niezwycięzonego, jakże wam nie wstyd! Jakoż popołudniu przybyliśmy na rynek; tu otoczono nas naokoło wojskiem, a my, ustawieni we dwa szeregi, oczekiwaliśmy przybycia generała Czengerego, ówczesnego komendanta miasta Kielc. Człowiek ten, z rodu Węgier, był dla nas opatrzościowym, bo gdyby na tem stanowisku był jaki Niemiec, lub inny jaki satrapa, o! to do księgi martyrologii polskiej, byłoby przybyło sporo kart!... On to pod rozmaitymi pretekstami starał się niejednego uwolnić; uwalniał na przykład młodzież, ewentualnie lat czternaście mającą, choć niejednen miał daleko więcej. To też zaraz po naszym przybyciu, na tej podstawie, uwolnił dwóch Węgrów, jednego Belle'a, drugiego nazwiska nie pamiętam.

Po godzinie przybył Czengery między nasze szeregi, a przeszedłszy od pierwszego do ostatniego, ka-

żdego zapytywał: skąd i czym się trudnił, a ponieważ prawie wszyscy byliśmy z Galicyi i wszyscy prawie szkolną młodzieżą, przeto obszedłszy szeregi nasze, załamał ręce i wyrzekł te pamiętne i doniosłe słowa:

„Co też tam te durnie Austriacy robią, że tyle młodzieży przez granicę przepuszczają!“ Następnie się zwrócił do kobiet, które przyszły go prosić, by pozwolił podać nam czy to kawy, czy bułek, lub innych łakoci, mówiąc: „Matki! wasza to sprawa! Za te wasze cukierki i łakocie, oni pójda w Sybir, w Sybir!“

Po tym przeglądzie i po tej przemowie skinął, aby nas odprowadzono do tury, w której już zastaliśmy kilkaset naszych więźni. Ja dostałem się pod numer 4-ty z sześcioma innymi towarzyszami, lecz wkrótce zostałem przeprowadzony pod numer 17-ty czy też 22-gi, już dobrze tego nie pamiętam, a to z następujących powodów.

Okna z tego numeru wychodziły na ogród publiczny, spacerowy (gdyż więzienie ono, był to dawniej, zdaje mi się, jakiś klasztor). Generał Czengery często w asystencji dwóch kozaków lubił po tym ogrodzie spacerować. Otóż zdarzyło się raz podczas półgodzinnego czasu, w którym więźni wypuszczano dla *progulki* czyli spaceru na podwórze więzienne, że zebrała się nas gromadka amatorów śpiewu; aby nas słyszała publiczność kielecka udaliśmy się pod numer 22. i rozpoczęli śpiew, owej tak rzewnej i patryotycznej pieśni: „Lecą liście z drzewa“. Śpiewaliśmy pieśń ową z takim patosem i z takim porywem serca, jak nigdy by się nie śpiewało, gdyby się było na wolności, śpiewaliśmy płacząc zarazem. Wtem powstał alarm najokropniejszy: „Czengery!“

Lecz generał prawie *incognito*, bo tylko z jednym kozakiem, wali wprost do naszej kamery (czyli stancyi) staje w pośrodku nas i mówi: „Panowie, gdyby

to było w mojej mocy, to za tę jedną pieśń wszystkich bym was uwolnił!“ Taki to był ten zacny Węgier-Moskal, zaco cześć niech będzie Jego pamięci. Odtąd z polecenia Czengerego, my śpiewacy zostaliśmy już w tym numerze tak długo, dopóki się więzienie kieleckie nie przepełniło więźniami, a nas nie odesłano do gubernialnego miasta Radomia.



128646

ROZDZIAŁ IV.

R a d o m.

Przyszedłszy do Radomia, zastaliśmy i tam już pełno więźni, lecz że więzienie radomskie było od kieleckiego o wiele obszerniejsze, dlatego mieliśmy dość przestronno. Ja dostałem się na piętro, gdzie w celi pod numerem 1. byli wraz zemną: Maurycy Rytter, Czerny, Władysław Pade, Ferdynand Gajowski, Kościński z Warszawy, Michał Miłosz-Borecki, Bańkowski, rotmistrz Miernicki, major Golian i inni, których nazwiska zapomniałem. Jak w Kielcach usychaliśmy z tęsknoty za wolnością, tak znów w Radomiu już niejako oswoiliśmy się z położeniem naszym, przystosowaliśmy się i zaczęliśmy *de facto* praktykować życie więzienne, życie aresztanckie. Persadowaliśmy sobie: „choćbyś głową o mur walił jak taranem, to prędzejby pękła głowa aniżeli mur“, przeto więc jakoś nabraliśmy otuchy i rozpoczęliśmy życie towarzyskie, urozmaicone opowiadaniami na temat wypadków dnia, jak również różnych epizodów obozowych. Tak upływał dzień za dniem. Wreszcie jednego poranka zostałem postawiony przed sądem wojennym.

Sąd wojenny składał się z trzech wyższych stopni oficerów, którzy nas indagowali i mieli sądzić. Z tej

komisyi sądowej zapamiętałem jedno tylko nazwisko Polaka Pisarewskiego, który według ogólnego mniemania, według *vox Dei*, miał być największym łotrem. Indagacye te i protokoły powtarzały się dość często z temi samemi osobami; chodziło bowiem o to, czyli któremu z nas nie uda się udowodnić, że należał do tak zwanej żandarmeryi wieszateliów — jeżeli to komu udowodniono, to bez pardonu szedł na szubienicę. Chociaż my Galicyanie Bogu dusze winni, nie mogliśmy być o to podejrzewani, to jednak sąd wojenny prawie każdego o to posądzał i chciał w tę sprawę wplątać.

Koniec końcem po długich korowodach, inkwizycjach, konfrontacjach etc. zasądzono nas wszystkich Galicyan, a to: 1. za przekroczenie granicy z bronią w ręku, 2. za udział w powstaniu, każdego na 4 lata robót przymusowych, aresztanckich we fortecy Iwangrodzie. Wyrok taki, jak to każdy zrozumie, przyjęliśmy z radością, jako łagodny wymiar kary, chyba z tem uwzględnieniem do nas zastosowanym, że jesteśmy Galicyanami. Ponieważ jednak taki wyrok sądu gubernialnego, choćby nawet wojennego, musiał być zatwierdzony przez namiestnika, przeto i nasze wyroki odesłano do konfirmacyi namiestnika Berga do Warszawy. Nasze wyroki otrzymał Berg do konfirmacyi w owym czasie, kiedy to na życie tego satrapy urządzono zamach; okoliczność ta tak go rozwściekliła, że z czterech lat robót aresztanckich w Iwangrodzie zmienił na osiem lat katorżnych t. j. fortecznych robót w Syberyi!

Pod owe czasy była to straszna, przerażająca dla nas Galicyanów wieść, kiedy to o Syberyi wiedziało się nie więcej, jak o żelaznym wilku. To też na nasze młodociane umysły padło wprost przynębiające przerażenie, powiększane jeszcze przez ludzi, lepiej obznajomionych z ustawami rosyjskiemi, którzy dowodzili, że

dla nas już niema nadziei i że ojczystego kraju, rodzinę i w ogóle drogich sercu osób już z nas nikt nigdy nie zobaczy. Jakoż w istocie prawdy w tem było wiele, bo według ustaw rosyjskich, każdy, bodaj tylko na 24 godzin zasądzony do robót katorżnych, już *eo ipso* utracą prawo wszelkiego powrotu do kraju. Po odbytej karze, przechodzi w inne kategorie łagodniejszych kar, to jest pod nadzór policyjny, potem bywa posyłany na osiedlenie w odległe tajgi, następnie może otrzymać pozwolenie do mieszkania w mieście, ale to tylko wtedy, jeżeli zachowanie się osobnika jest łagodne i jak to nazywają *blahonadiożne*, zawsze jednak tylko w granicach Syberyi, do powrotu jednak w strony ojczyste traci raz na zawsze prawo.

Jakkolwiek już niedługo po tej hiobowej wieści bawiliśmy w Radomiu, to jednak, przynajmniej co do mnie, wołałem pójść choćby na koniec świata, aby tylko nie siedzieć beczynnienie, lecz widzieć świat, widzieć niebo, widzieć ludzi, choćby i dzikich, choćby szakali, oddychać świeżem powietrzem i stąpać po ziemi. Jakżem się jednak łudził w mych marzeniach! W Radomiu byliśmy jeszcze w swej ojczyźnie, pomiędzy swoimi rodakami, którzy starali się o to, aby nam umilić, osłodzić to życie więzienne: jedni z obywateli radomskich przysyłali nam obiady, inni dostarczali książek do czytania, a inni okryli nas od stóp do głowy, gdyż byliśmy nadzy prawie. Po opuszczeniu zaś Radomia rozpoczęła się w całym tego słowa znaczeniu: katorga!

Dnia 13. października 1863 r. wyruszyliśmy z Radomia do Warszawy. Pochodu już tego dobrze nie pamiętam, bo przesycony był ciągłym strachem i pogrozkami Moskali nas konwojujących, którzy będąc sami w obawie o swe życie, ciągle nas nękali i straszili, że na wypadek, gdyby nas jaki oddział powstańczy chciał odbić, to my pierwsi padniemy ofiarą mordu!

Musieli to jednak dobrze wiedzieć bracia nasi, bo, jakkolwiek dosyć było jeszcze naówczas oddziałów na przestrzeni Radom - Warszawa, to jednak nie usiłowano nas odbijać, by nam życie oszczędzić; raz może dlatego, że silna eskorta z armatami nas konwojowała, a po wtóre dlatego, że niewątpliwie pogrozki Moskali byłyby się na nas ziściły.

ROZDZIAŁ V.

C y t a d e l a.

„Przezemnie droga w gród łez niezliczonych,
Przezemnie droga w boleść wiekuistą,
Przezemnie droga w naród zatraconych,
Mój budowniczy był wzniosłym artystą,
Sprawiedliwości dna grunt mój dosięga,
Mnie zbudowała wszechmocna potęga,
Przedemną rzeczy nie było stworzonych,
Prócz nieśmiertelnych — i jam nieśmiertelna!
Wchodzący we mnie zostawcie nadzieje!“
W tych słowach napis na bramie czernieje.

„Wchodzący we mnie zostawcie nadzieje!
W tych słowach napis na bramie czernieje“.

Te wiersze nieśmiertelnego wieszczą, Danta, wybrałem umyślnie, aby je zastosować najwłaściwiej do owej piekielnej bramy Cytadeli warszawskiej. Kto raz przekroczy ową bramę, to już żywcem pogrzebiony, już się dostał w ów gród łez i mąk niezliczonych!

* * *

Około godziny dziewiątej z rana przybyliśmy do Mokotowskich rogatek pod Warszawę, skąd roztoczył się nam widok cudowny i wspaniały, widok wielkiego

miasta. Nie wiem dla jakich jednak powodów Moskale w Warszawie nie mieli odwagi popisać się swym sukcesem, bo zamiast przez Warszawę, prowadzili nas poza miasto, poza wały i okopy, aż hen naokoło do cytadeli. Czy się bali, czy wstydzili? może jedno i drugie.

Nad wieczorem otworzono nam ową fatalną i złowrogą bramę, o której na wstępie wspomniałem, i jakkolwiek przedtem nie czytałem „Piekle Dantejskiego“, to teraz takie samo ogarnęło mnie uczucie grozy i strachu na widok owej bramy w cytadeli warszawskiej, jak gdy się czyta o owej bramie piekielnej, gdyż uczucie ubezwładnia duszę tem samym przecuciem, że kto tu wstępuje — nie powraca! Już samo wejście jest przerażające; droga wiedzie od Wisły pomiędzy wysokie szkarpy, pomiędzy mury, jak w otchłań jaką! Każdy krok w akustyczny sposób odbija się, odbija i dziwnie przejmującą trwogą! Również przygnębiające wrażenie wywierają na ciebie te olbrzymie mury, te brudne kamaty forteczne, a jeszcze większa ogarnia cię groza na widok owych ogromnych piramid kul armatnich, ułożonych systematycznie od spodu warstwą szeroką, u góry zakończone grzbietem. W tym pawilonie widzisz ustawione armaty jednego kalibru i stos ogromny kul do nich; na innym zaś placu widzisz mnóstwo armat innego kalibru i również olbrzymią stertę kul do nich. Idąc dalej, spostrzegasz to samo i ciągle to samo! a wtedy ci mimo woli przychodzi refleksya: kto tej potędze sprosta?

Dokąd byliśmy poza cytadelą, postępowano z nami oględnie, skoro jednak przekroczyliśmy ową piekielną bramę, traktowano nas nie jak ludzi, lecz jak zbrodniarzy. Tam już przywykli do tego, żeby człowieka nie nazywać po imieniu, tylko numerem! Ulokowano nas w Aleksandrowskim odwachu, t. j. w salach przesyłkowych. Są to kolosalne sale, na sto lub więcej osób;

środkiem stoją *nary*, to jest tapczany do spania, naokoło zaś przejście — korytarz. W sali, do której nas zapędzono, znajdowało się już kilkadziesiąt osób przeróżnej kategorii: jak na targowicy spotkasz tam ludzi ze wszystkich warstw społeczeństwa i wszelkich przekonań, masz tam filozofów i lichwiarzy, milionerów i żebraków, ascetów i sceptyków, wyrobników i burzów, rycerzy i tchórzów, a nawet i szpiegów!

Wszelkie operacye tak moralne, jak i fizyczne na tych ofiarach Moskwa zwykła wykonywać w nocy. A więc w nocy cię budzą i wloką po różnych korytarzach i otlehaniach, czy to czekają cię ćwiczenia moralne, które się zwą indagacyą, czy cię mają ćwiczyć różgami, torturami, czy zakuwać w kajdany, czy wreszcie wieszać, to wszystko dzieje się w nocy. Ponieważ w tej sali, w której ja byłem, mieściło się z górą sto osób, przeto nie mieliśmy ani jednej godziny w czasie nocy spokojnej; co chwila bowiem: trrraf, trrraf, odmykają się zamki z łoskotem, wpada oficer z żandarmami i wywołuje tego, lub owego, a biada temu, kto został wywołany w nocy! idzie on albo na tortury, albo na śmierć! To też za każdym razem na sali powstaje przerażenie i trwoga, gdyż nikt nie jest nigdy pewny życia. Taka fatalna chwila przyszła i na mnie! Około północy zamki zgrzytnęły, rygle się odsunęły, a na salę wpada oficer z żandarmami, trzymając złowrogie papiery w ręku i czyta:

„Iwan Siwiński, *sabieraj* *sia!*“ Wstajesz i idziesz struchlały, choć nie wiesz ani gdzie, ani poco. Wywołano nas dwudziestu. Na korytarzu mnóstwo wojska, które przy świetle latarni, błyszcząc bagnietami, złowrogo wygląda. Idziemy najpierw korytarzem, potem podwórzem, jakieś gmachy, jakieś mury mijamy, aż wreszcie stajemy przed drzwiami żelaznymi, schodami kamiennymi, wiodącymi do lochu, lochu oświetlonego

ślabem światelkiem lampy, tam nas pchają, tam nas tłoczą! Weszliśmy, raczej wepchnięto nas. „Tortury!“ pomyślałem sobie i zacząłem się modlić mimo woli. Była to nadzwyczaj obszerna piwnica, czyli raczej loch. W tym lochu spostrzegliśmy siedzących na ziemi brodatych szatanów, sadzą zabrukanych, z rękami zakaszanymi, byli to kowale. Przed każdym leżała olbrzymia kupa kajdan: ci to oprawcy mieli nas zakuć. Na ten widok serce nam zamarło, odrętwiliśmy z niemocy, strachu i żalu, i staliśmy bezradni i oniemiaли. O! słodko jest ojczyźnie się poświęcać, życie nawet utracić, ale cierpieć urągowiska, być wystawionym na szyderstwo niemocy, mieć dyby na nogach jak najpospolitszy zbrodniarz — o! do tego wszystkiego nim się zaprawisz, nim nabierzesz cynizmu i zobojętnienia — to wolałbyś się zapaść w ziemię!

Oficer, dozorujący tę egzekucyę, mówi do mnie: *sadij sia*; a że ja tego nie rozumiałem, przeto jakiś żołdat pchnął mnie z tyłu tak, że się potoczyłem i upadłem na owe sterty kajdan, owi zaś oprawcy, szatani-kowale, pochwycili mnie za nogi, obalili i traf, traf, byłem już udekorowany i ozdobiony za waleczność.

Ów oficer-satrapa począł wtedy mówić czysto po polsku:

„No żeby go teraz zobaczyła matka, lub jaka kochanka, toby się dopiero cieszyła, jak on teraz pięknie będzie wyglądał“. Ja jednak tego wszystkiego ani nie słyszałem, ani nie rozumiałem, tylko mi to potem moi współtowarzysze niedoli opowiadali.

Powrót z tych piekielnych lochów był dla nas straszny! Kajdany były krótkie, bo zaledwie na dwanaście cali długie, kroku tedy w nich nie można było zrobić; stapało się jak kura i co chwila upadało. Ponieważ my byliśmy pierwsi wywołani owej nocy do skucia, przeto jakież deprymujące wrażenie wywarły nasze kajdany

na resztę kolegów! Brzęk, szczęk i łomot kajdanów wywołał głuchą grozę. Atoli nad tem wszystkim nie było czasu lamentować, bo wypadki szybko następowały po sobie: po nas poszli inni, a po tych znów inni, i tak w krótkim czasie nie było nic słyhać, tylko brzęk i szczęk kajdan po całej sali.

Tu jednak wypada mi objaśnić czytającego, że według ustaw moskiewskich, żaden szlachcic nie może być w kajdany zakuty, chyba że jest zasądzony na pozbawienie wszelkich praw, przeto i z nas tylko Galicyan zakuto i tych koroniarzy, którzy się nie mogli wylegitymować szlacheństwem. Nie idzie jednak zatem, aby Galicyanie nie byli szlachcicami, bo tak w owej chwili, jak i poprzednio przy protokołach, jedni nie chcieli, a drudzy nie mogli swego szlacheństwa udokumentować, gdyż to wymagało wielu korowodów.

Jakoż może w dwie godziny byliśmy już wszyscy zakuci; wtedy znów zjawia się inny oficer i na cały głos komenderuje: *wychadij!* Na olbrzymiem podwórze stały już zaprzężone kibitki, całe zakute w budy blaszane; siedliśmy w owe kibitki po dwóch w tyle, a zaś na przeciw po dwóch żandarmów w przodzie kibitki, obok kibitek dużo wojska: piechoty i kawaleryi, z tyłu zaś cały ten pochód zamykały armaty.

Z cytadeli wyruszyliśmy około godziny trzeciej po północy i tak jechaliśmy przez całą Warszawę aż na Pragę. Jakkolwiek szczęk broni, turkot kibitek po bruku, hurkot armat, stukot końskich kopyt, wszystko to sprawiało wrzawę nieopisaną, to jednak dochodziły nas szlochania i lamenty niewiast Warszawianek, które tym sposobem żegnały nas w naszą daleką podróż, w podróż piekielną!

ROZDZIAŁ VI.

Kolej aresztancka.

Dnia 3. listopada 1863 roku wsiedliśmy na Pradze do wagonów aresztanckich. Kto w życiu swoim jechał dłuższy czas koleją, ten musi mi to przyznać, jak taka dłuższa jazda męczy człowieka, chociażby jechał nawet pierwszą klasą. Proszę sobie tedy wyobrazić, jak musiał wyglądać ów człowiek, który bez wyśiadania jechał aresztancką koleją przez trzynaście dni i nocy! Wagony aresztanckie nie wiele wprawdzie różnią się od wagonów trzeciej klasy, najważniejsze atoli jest to, że nie posiadają okien zwykłych wagonów, lecz tylko u góry wąskie i małe okienko okratowane, przez które nie widzieć nie można. Ławki do siedzenia są wąskie i szczupłe, przedziały tak małe, że kolana pomiędzy kolana sąsiada trzeba wkładać, aby się pomieścić; środkiem zaś wozu biegnie korytarz dla dyżurnego żandarma. W każdym wagonie jest także ustep. Do takich to wagonów naładowano nas jak śledzi do beczki. Trzeba wiedzieć, że pociąg aresztancki z każdej stacyi odchodzi ostatni, to też na każdej stacyi trzeba było stać dwie, trzy a nieraz i cztery godziny, zanim wszystkie pociągi poodchodziły, wówczas my mogliśmy odjechać.

Przedstawić więc sobie można, co się działo z naszymi członkami! O spaniu też mowy być nie mogło w takich prasach; otóż jeżeli kto chciał się zdrzemnąć, to włożył pod ławkę, rozumie się jeżeli się pomieścił. Później nawet tak się urządziliśmy, że co dwie godziny każdy kolejno szedł pod ławkę, aby móżdż swe członki i mięśnie ponaciągać! Najprzykrzejszą okolicznością było dla nas to, że razem z nami w tych samych wagonach i na tych samych warunkach jechały również i kobiety, kobiety-patryotki. Mdlały one nieraz z bólów i kureczów. Wikt mieliśmy telegraficznie na stacyach zamówiony; gdy pociąg nadszedł, lub gdy już wszystkie inne pociągi poodchodziły, wtedy my w asystencyi żandarmów, szliśmy do sali jadalnej, gdzie już potrawy były na talerzach gotowe. Śniadanie i kolacje jedliśmy w wagonach; ograniczały się one na szklance herbaty.

W taki sposób i w tych torturach przejechaliśmy gubernie: Warszawską, Augustowską, Grodzieńską, Wileńską, Witebską, Pskowską — do Petersburga, czyli 1500 wiorst!

ROZDZIAŁ VII.

Petersburg.

Do Petersburga przybyliśmy dnia 13. listopada, a więc po dziesięcio-dniowej jeździe; przybyliśmy rozbici, zmęczeni i niewyspani, podobni do mar nocnych lub upiorów! Lecz piekielna polityka Moskwy umiała z tego skorzystać; bo właśnie dlatego, żeśmy tak wyglądali, zawieziono nas na główny dworzec Petersburski, ażeby nas całej publiczności okazać na pośmiewisko, że takie szkielety, takie straszdyła śmiały się zbuntować na cara, a dla większego jeszcze zohydzenia nas, dano nam gwardyę cesarską na straż, która według przysłowia moskiewskiego jest *rostom tri arszyna* (trzyłokciowego wzrostu). Lecz jakże fatalnie zawiodła się Moskwa na nas — te szkielety, te kościotrupy umiały jeszcze kasać!

Przybywali tedy w odwiedzinę Moskalę, ale sami wojskowi i to wyższych stopni: generałowie, pułkownicy od kawalerii, od artylerii, a najwięcej od marynarki, jako najwięcej wykształceni. Ci dygnitarze rozpoczęli dyskursa na różne temata polityczne. W ówczesnem naszym towarzystwie nie brakowało ludzi prawdziwie wykształconych i obytych światowców, jak np. Golian, były major wojsk francuskich w Algierze, Antoni Mier-

nicki, rotmistrz austriacki, a następnie emigrant francuski, Rytter Maurycy, emigrant, i inni. Otóż na zapytanie pewnego generała, co my myślimy o Murawiewie — wystąpił Maurycy Rytter i mówi:

— Panie generale, ja byłem dłuższy czas we Francji; tam jeżeli kto chce kogo zbeczczyć i nazwać go ostatnim wyrazem, to mu powie: „ty Murawiew!“

Inny znów dygnitarz zaczął nam przedstawiać, abyśmy nie wątpili o wspaniałomyślności Najjaśniejszego Pana, bo on wiele jeszcze może nam zrobić do-drego — na co znów odrzekł Maurycy, że on bynajmniej nie wątpi o wspaniałomyślności Najjaśniejszego Pana, który, gdy zechce, może nawet kazać zakuć w kajdany tych, którzy ich jeszcze dotąd nie mają.

Jedna tylko gwardya carska, owe wielkoludy, uragały nam, mówiąc, że oni *carstwo polskie* potrafią czapkami zarzucić, lecz z tymi nie było co dyskutować. Muszę jeszcze nadmienić i tę okoliczność, że nasza wyprawa była pierwszą wysyłką na Sybir; przeto z wielką ciekawością na nas patrzano, nie tylko w Petersburgu, ale i w ciągu całej naszej przeprawy.

Po 24-godzinnym pobycie na głównym dworcu kolei petersburskiej wsadzono nas napowrót do wagonów aresztanckich i odesłano do Moskwy. Jechaliśmy znów przez gubernie: Nowogrodzką, Twerską i Moskiewską — razem 700 wiorst przestrzeni.

ROZDZIAŁ VIII.

M o s k w a.

Do stolicy Carów przybyliśmy dnia 15. listopada. Z dworca kolejowego do *tuwny peresylnych kazamat*, t. j. więzienia przesyłkowego, mieliśmy pieszej drogi 7 wiorst, gdyż więzienie to znajduje się w centrum miasta niedaleko Kremlu. Czas był brzydki, śnieżny, przeto trzeba było brodzić po błocie tak długą przestrzeń, co dla nas kajdaniarzy było prawie rzeczą niepodobną, zwłaszcza — jak to już nadmienilem — że byliśmy na krótko zakuci i stawialiśmy kroki nie większe od kur.

Już na kolei niejedni porozcinali i porozrywali sobie obuwie, gdyż skutkiem nabrękleści ciała, powstałych z powodu ciasnego okucia kajdan, nie mogli bolu wytrzymać, a cóż dopiero myśleć o pieszym pochodzie w kajdanach po takiej błotnistej i dalekiej drodze!

Tutaj muszę wspomnieć o najboleśniejszej rzeczy, bo mam wyprowadzić na światło dzienne zachowanie się szlachty zakordonowej wobec nas. Z uwagi jednak, że okoliczności przezemnie naprowadzone żadną miarą nie mogą się odnosić do ogółu szlachty Królestwa polskiego, a stosują się tylko wyłącznie do pewnych osób,

przeto postanowiłem na tem miejscu napiętnować tych panów a towarzyszy mej niedoli takim mianem, na jakie swem zachowaniem się wobec nas Galicyan-kajdaniarzy zasłużyli! Nazwisk jednak nie wymieniam, bo mniemam, że nie wielu ich już pozostaje przy życiu. Otóż rzecz tak się miała: W systemie rządu rosyjskiego jest zaprowadzony porządek taki, że łączą wszystkich przestępców, tak politycznych, jako i zbrodniarzy w jeden czambuł, w jedną partję i tak ich internują na Sybir. Aby zaś przestępców zbrodniarzy napiętnować, zakuwają ich w kajdany; a czynią to i dla tego, aby nie uciekli. My zaś polityczni zesłańcy, nie szlachta, także byliśmy zakuci, przez co niczem nie różniliśmy się od zbrodniarzy. Zresztą etycznie rzecz biorąc, to taki kajdaniarz zawsze i wszędzie dla każdego widza będzie wstrętnym. Tym tylko argumentem można wytłómaczyć to, że bracia nasi i współwięźnie wstydzili się nas i zaparli! Konwojujący oficer kazał nam kajdaniarzom pójść naprzód, lecz jak to już nadmieniałem, każdy z nas stawiał kurze kroki, przeto na przebycie 7 wiorst drogi potrzebowaliśmy całego dnia czasu. W dodatku posłabiliśmy tak, że absolutnie nie mogliśmy kroku postawić, ani nóg z kałuży błotnej wydzwignąć. Pochód cały się spóźniał, choć żołnierze ciągle nawoływali do pośpiechu; porządek wszelki partyjny ustał, bo zamiast nas szli na przodzie ci, co nie byli zakuci. Krew płynęła nam z nóg skutkiem przesuwania się obręczy żelaznej po ciasno zakutej cholewie — upadaliśmy i omdlewali — a jednak żaden z panów kolegów i towarzyszy niedoli, tych, co szli w futrach własnych i bez kajdan, jako szlachta polska — nie podał nam ramienia, nie podźwignął z błota, aby siebie nie powalać — a w dodatku wyparli się nas przed Moskalami, nazywając nas: *prostonarodiem*, to znaczy prostakami! Do tego obrazu sądzę, że zbyteczne byłyby

wszelkie komentarze, powinienem być może pominąć milczeniem i pogardą ten ze wszech miar niemiły epizod, bo niejeden może mnie posądzić o stronnictwo, nazwać mnie ludowcem, lub nawet może i socyalistą.

Lecz ja się znów zapytam, jakichże to przekonań, jakiego uczucia, jakiego czoła wobec Moskwy byli ci panowie bracia-rodacy i towarzysze wspólnej niedoli, aby na widok naszych cierpień, na widok naszej krwi, którą znaczyliśmy swój pochód, nie podać nam ręki i nie dopomódz — aż to musieli uczynić Moskale?! Moskale widząc, że ani na noc do tury nie zajdziemy, widząc, że omdlewamy — ulitowali się i każdego ujęło pod pachy dwóch żołdatów i w ten sposób przebyliśmy owe 7 wiorst, owe siedm boleści!

Skoro już na tem miejscu o tem mowa, skoro się powiedziało *a*, to trzeba powiedzieć i *b*, niechaj wypłuję wszelką gorycz, którą od lat tylu noszę — a będzie mi lżej. Było to znów aż w Nerczyńskim okręgu, w miejscowości Akatują. W tej to miejscowości tak się rzeczy złożyły, że było bardzo dużo szlachty z Królestwa polskiego. Między innymi tu wymienię Hr. Czapskiego, księcia Gedrojcia, Epszteina, bankiera z Warszawy i wielu, wielu ludzi majątnych, którzy miesięcznie otrzymywali po 100 rubli z domu. W roku 1866 objeżdżał całą Syberyę namiestnik Syberyi, książę Korsakow, lustrując wszystkie więzienia polityczne i niepolityczne i zapytywał więźni czyli nie mają jakiego zażalenia.

Otóż, gdy przybył do Akatui, a było tam więźni politycznych około 800, miejscowy komendant po poprzedniem snać porozumieniu jednych, jako *tudszych* (lepszyc) ustawił osobno, a zaś *prostonarodie* (prostaków) osobno i tak też Korsakowowi przedstawił, mówiąc:

— *Jeto gospoda pany dworianie i z tudszych, a to ti, wskazując na lewo, prostonarodie.*

Na to Korsakow się zapienił ze złości i jak nie krzyknie:

— *Umienia niet nikakich ludzzych, umienia wsie buntowszczyki, wsie miatieżniki!*

Chociażby się przypuściło nawet okoliczność, że nasi bracia nie prosili o to odosobnienie, to skoro jednak widzieli, że ich na dwa dzieli władza obozy, to już nie dla idei, lecz dla samej solidarności wobec siebie samych nie powinni byli do tego dopuścić. Przyznaję, że wobec 30 tysięcy zesłanych na Sybir nie mogło być tyle samej szlachty, lecz byli i mieszczenie i lud prosty i żołnierze z wojska moskiewskiego, austriackiego, Galicyanie, Węgrzy, Poznańczycy, Litwini, Żmudzini, Francuzi, Włosi a nawet i Żydzi; byli milionerzy i żebracy, księża i łobuzi, patrycyusze i plebejusze — słowem cały naród w całym tego słowa znaczeniu, za jedną sprawę walczący i za jedną sprawę cierpiący — przeto w takim zgromadzeniu powinna być jedność i zgoda i miłość braterska, zwłaszcza tam w Sybirze o tysiące mil od Europy, od ojczyzny. A jednak tak nie było! — Lecz po co mam o tem pisać? — wszak historia zna gorsze rzeczy!...

Łaskawy czytelniku, zechciej mi wybaczyć najpierw to, że odstąpiłem od przedmiotu mego opowiadania o pochodzie naszym przez Moskwę, i to, że niektóre moje zapatrywania może są pesymistyczne. Więc wracam do rzeczy:

Idąc ulicami Moskwy, widzieliśmy okropne rzeczy — widzieliśmy tych kacapów fanatycznych, tych bojarów, tę gawiedź i ten motłoch uliczny, który nas obrzucał błotem, kamieniami, który byłby nas rozszarpał, poćwiartował i ukamienował, gdyby nie wojsko, które w zwartych idąc szeregach, broniło przystępu a nawet kolbami musiało odpierać owe masy, które nas przeklinały, które nam złorzeczyły.

Patryotyzm i fanatyzm, głupota i zwyrodnienie! Taką jest Moskwa!

Cóż się dziwić wobec tego, że Napoleon w Moskwie znalazł zgubę?

Czy następne partye doznawały tego samego przyjęcia co i my — nie wiem — nasza partya była pierwsza, w której Moskwa po raz pierwszy zobaczyła *Polaków-buntowszczyków*, idących w Sybir w kajdanach za to, że ośmielili się podnieść rękę na białego cara — dlatego na cześć cara tak manifestowała!

Niemniej muszę wyznać, że miasto Moskwa bardzo mi się podoba, daleko więcej, aniżeli Petersburg. Tam czuć despotyzm, tu swobodę: Moskwa ma wygląd olbrzymiego ogrodu. Niema tutaj tych symetrycznych ulic, placów, domów, ogrodów, ale cała swoboda: tu gmach, tam ogród, to znów szereg ulic, place i teatry — dalej willa, okolona brzozą płaczącą, a tam znów bazy, ówdzie ogrody; i tak bez końca panorama się zmienia. Najwięcej jednak jest cerkwi, bo jak sami Rosyanie utrzymują, to w matuszce Moskwie jest *sorok soroków* cerkwi! (co po naszymu znaczy 40 razy po 40).

Peresylne kazamaty, do których nas przyprowadzono, leżą naprzeciw Kremlu. Kremlin jest olbrzymią czworoboczną fortecą, oblaną wodami rzeki Moskiewki. Widok Kremlu jest imponujący i wspaniały! Mówią, że wewnątrz Kremlu jest 13 cerkwi, których dachy i kopuły są platyną powleczone — ja jednak tego na pewno nie twierdzę — dość, że Kremlin mię zachwycił!

W Moskwie również tylkośmy nocowali. Na drugi dzień, na usilne prośby nasze, wskutek ran na nogach — przekuto nas i dano nam dłuższe i swobodniejsze kajdany; następnie wyprowadzono nas koleją aresztancką do Niżnego Nowogrodu.

ROZDZIAŁ IX.

Niżny Nowogród.

Z Moskwy przejeżdża się tylko Włodzimirską gubernię, wjeżdża się do Niżno-Nowogrodzkiej. Do Niżno-Nowogrodu przybyliśmy dnia 18-go listopada. Ze wszystkich może miast Rosyi, to powiedziałbym, że Niżny Nowogród pod względem swego położenia, jest wprost zachwycającem miastem. Miasto to leży nad dwiema dużemi rzekami: Wołgą i Oką. Z północnej strony płynie majestatycznie *matuszka* Wołga, a od południa oblewa go rzeka Oka, która wpada do Wołgi tuż u stóp miasta. Miasto leży na górze, skąd roztacza się przepyszny i fantastyczny widok! Statki parowe, które żeglują po Woldze, a których jest wielka ilość, nadają miastu swem świstaniem i łopotaniem po falach wody charakter wielkiego i handlowego miasta. W istocie Niżny Nowogród jest miastem bardzo handlowem, jest miastem w całym tego słowa znaczeniu wszechświatowem. Tutaj dwa razy do roku odbywają się jarmarki, które trwają po dwa miesiące, a które sprowadzają kupców i przemysłowców z całego świata! Jednak rynek Niżno-Nowogrodzki słynie specyjalnie handlem futer, tutaj bowiem są futra po tysiąc rubli! Tych drogocennych futer i skór dostarcza Syberya i morze polarne.

Kto statkiem parowym przyjedzie do Niżno-Nowogrodu i odjeżdża z portu ku miastu dorożką, to będzie jechał po ślimaczemu i w prawo i w lewo drogą łamaną dobre pół godziny, zanim wyśrubuje się na równinę. Kto zaś tę drogę będzie odbywał piechotą, ten będzie miał do przebycia trzy kondygnacye szerokich, kamiennych schodów, lecz zato będzie się delektował czarownymi widokami na tej drodze i daleką perspektywą owej imponującej i olbrzymiej rzeki Wołgi. W Niżno-Nowogrodzie pożegnaliśmy się już raz na zawsze z koleją żelazną i niejednemu już nie było daniem, aby nią jechał więcej kiedykolwiek.

Z Niżno-Nowogrodu rząd rosyjski pod owe czasy przestępców politycznych wysyłał albo rzeką Wołgą w parostatkach, albo pocztą. Ponieważ wtedy Wołga zamarzała, przeto i my byliśmy wysłani aż do Tobolska w kibitkach pocztowych. Była to szalona i wściekła zarazem jazda! Jechaliśmy znów tym sposobem przez 22 dni i tyleż nocy! I znów szła naprzód sztafeta, ile na oznaczoną godzinę ma być kibitek w pogotowiu na poczcie; na której stacyi pocztowej ma być dostateczna ilość obiadów lub śniadań, aby móżdż ciągle bez wytchnienia, bez żadnego odpoczynku jechać i jechać, choćby na złamanie karku, choćby już nie ludzi lecz manekiny zawieźć, choćby trupy, a zawieźć tego dnia i o tej godzinie, jaka była w rozkazie. Zadanie było trudne dla tych, którzy takowe polecenie otrzymali; najpierw rzeki marzły, więc trudna była przeprawa, a powtóre, nielada przestrzeń mieliśmy do przebycia, bo z górą 2.000 wiorst! A cóż dopiero mówić o ewentualnych przeszkodach, postawionych przez wyższą siłę? Lecz Moskal na to nie zważa; w moskiewskim słowniku nie znajdują się takie wyrazy jak: nie umiem, nie potrafię, lub nie wiem. Moskal pamięta tylko na jedno magiczne słowo: *Był posiemu i basta!* więcej go

nie nie obchodzi. Tak więc w owej szalonej i zawrotniej jeździe, robiliśmy po 100 wiorst na dobę!

W dzień naszego odjazdu z Niżno-Nowogrodu, ustawiono nas frontem po jednemu, a naprzeciw ustawiono tyleż żandarmów, do których kapitan żandarmeryi miał taką przemowę:

— *Rabiata!* dzieci, pamiętajcie, że oddaję wam każdego naprzeciw was stojącego Polaka pod opiekę, dobrze mu się przypatrzcie, abyście sobie zapamiętali jego rysy i abyście takiego samego, czy to żywego, czy umarłego do Tobolska odwieźli, a pamiętajcie i to, że jeżeli który z nich utraci rękę, to i ty utracisz rękę, a jeżeli nogę, to nogę utracisz, a jeżeli utraciłby głowę, to i tobie głowę się utnie; a teraz *rabiata sadijsia i marsz, marsz!*

Po tej przemowie każdy żandarm wziął swego pupila, zaprowadził do kibitki, usadowił i sam siadł naprzeciw i — *paszot!*...

ROZDZIAŁ X.

Jazda dzień i noc.

Gdyśmy opuszczali Niżny-Nowogród, rząd rosyjski z obawy, aby który z nas nie umarł w drodze od zimna, zaopatrzył nas w kożuchy.

Z Niżno-Nowogrodu wyjechaliśmy dnia 20. listopada i jechaliśmy przez następujące stacje: 1. Kistów, 2. Majdany, 3. Polany, 4. Kistowa, 5. Łysków, 6. Ostacycha, 7. Czuguny, 8. miasto Wasilsk-Sursk. Pod Wasil-Surskiem przeprawiliśmy się promem przez rzekę Surę, która wpada do Wołgi. Zauważyłem, że na rzekach w Rosyi i Syberyi używają innych, aniżeli u nas promów przewozowych.

O jakie 300 metrów od promu, w górę rzeki, jest na środku rzeki utwierdzone czółno, na którym znów na dobrze przytwierdzonym słupie jest przymocowana lina, ta idzie przez drugie takie samo czółno poniżej, następnie przez trzecie, czwarte aż do promu. Jeżeli rzeka niezbyt szeroka, to wystarczą cztery takie czółna, jeżeli szeroka, to 6 a nawet i 10. Prom zaś składa się z dwóch podłużnych łodzi, które są połączone pomostem. W tyle promu jest przyrząd łańcuchowy, nadający kierunek głównemu wachlarzowi, którym przewoźnik kieruje w czasie przeprawy i tak: gdy jedzie na

prawy brzeg; przekręca ów rudel na lewo, a woda sama przez nacisk na ów rudel peha prom ku brzegowi; gdy zaś jedzie na lewy brzeg, to daje odwrotny kierunek wachlarzowi, czyli owemu rudlowi; tak jeden przewoźnik bez żadnego zmęczenia może i 10 wozów naraz przewozić a nie będzie czuł różnicy, czy prom jest próżny, czy naładowany, gdyż woda sama przewozi a przewoźnik nadaje tylko kierunek.

W okolicy Wasil-Surska mieszkają przeważnie Czuwasy, jest to jakaś sekta, czy jakiś szczep — tego nie wiem. Z Wasil-Surska jechaliśmy przez stacje 9. Emanaczy, 10. Witowataja, 11. Smidyry, 12. miasteczko Czebokszory, 13. Jambutowa, 14. Akazinaja, 15. Lipowaja, 16. Worobiowaja, 17. miasteczko Swiaszk, gdzieśmy się znów przeprawiali przez rzekę Swiągę, która wpada do Wołgi. Następna stacja 18. Nodek, 19. Ustowa. Ustowa jest to ostatnia stacja przed miastem Kazaniem, ową stolicą tatarską. Z Ustowy do Kazania trzeba się przeprawiać przez Wołgę, a ponieważ naówczas szła już gęsta kra na Woldze, przeto i przeprawa była nie łatwa i niebezpieczna. Do przeprawy wezwano ośm łodzi dużych, nie promów, gdyż na Woldze prom jest niemożliwy. Na każdą łódź taką weszło nas 20 i żandarmów 20, przewoźników zaś 10.

Lecz jakąż to była przeprawa? Oto krok za krokiem, cał za całem posuwaliśmy się pomiędzy kry, pomiędzy lody; sześciu chłopów okutymi żerdziami oddalało kry i lody od łodzi, gdyż każde takie uderzenie olbrzymiej kry groziło zgruchotaniem łodzi i zatopieniem! Zimno przejmowało nas do szpiku kości, raz dla braku ciepłej przyodziewy, a powtórę, że każdy z nas był sponiewierany ową nieustanną jazdą i niewyspaniem. A jednak przeprawa ta, trwała dzień cały o chłódzie i głodzie, a w dodatku groziła jeszcze śmiercią co chwila, gdyż Wołga w tem miejscu miała milę sze-

rokości! Wreszcie, jak każda rzecz się kończy, tak i ta przeprawa się skończyła bez żadnego wypadku na razie; później dopiero dwóch towarzyszy z przeziębienia zachorowało i umarło w Tobolsku, gdzie też leżą pochowani: jeden niejaki Niedźwiecki, a drugiego nazwiska nie pamiętam.

Po tej strasznej przeprawie przez Wołgę, przyjechaliśmy do miasta Kazania, do owej sławnej stolicy tatarskiej, w której po dziś dzień stoi ów sławny meczet tatarski z wieżycą obłoków sięgającą. Cały ów przesławny meczet, jest murowany z palonej, lub może polerowanej na czerwono cegły; to też dominuje on nad całem miastem i z daleka krwawą łuną błyska, a wieżycza jego wystrzeliła tak wysoko, że zawrotu głowy dostałbyś, gdybyś długo w nią się wpatrywał.

Kazań ma wygląd stepowego miasta, to też istotnie ponad Wołgą przeważnie Tatarzy i Ceremisy zamieszkują owe równiny stepowe.

Z Kazania tak jak i z każdej innej stacyi pocztowej, wyruszyliśmy natychmiast, rozgrzawszy się conieco herbata, przez stacje: 21. Janezuzina, 22. Czuzylina, 23. Mateski, 24. Koroduwany, 25. Jangutowy, 26. miasto powiatowe Małmyż, gdzieśmy znów musieli się przeprawiać w podobny sposób jak na Woldze przez rzekę Wiatkę. Rzeką Wiatką jest znacznie mniejsza od Wołgi i płynie stepową równiną, dlatego też gdy przyjdą roztopy, zwłaszcza wiosenną porą, to rozlewa na parę mil wokoło. Wówczas komunikacja wszelka ustaje i zdarza się nieraz, że i czternaście dni trzeba czekać na opadnięcie wód.

Po powrocie już do kraju, opowiadali mi towarzysze, z którymi w robotach katorżnych przebywałem, że gdy w r. 1869 na koszt rządowy, czyli etapnym porządkiem do kraju powracali, mieli na rzece Wiatce pocieszną, choć niebezpieczną przeprawę. Gdy przybyli

nad rzekę, była ona wezbrana tak, że całe przestrzenie zatopila — otóż nikt z przewoźników nie chciał się podjąć przeprawy. Naszym zaś spieszo było i dlatego nie żalowali poczęstunku i przy kieliszku znaleźli się tacy, którzy podjęli się tej niebezpiecznej przeprawy. Powsiadano tedy na łodzi i odjechano. Z początku szło wszystko dobrze, bo woda stała jak na stawie, więc wiosłowali, śpiewali i jechali — skoro jednak zbliżyli się do koryta rzeki, skoro zobaczyli i oko w oko przypatrzyli się tym strasznym żywiołom — już wracać było za późno! Nurty rzeki porwały ich w swój szalony pęd i tu już nie pomogły ani wiosła, ani nie zgoła, wir ów szalony gnał ich furą straszną pomiędzy pale i pianę i tak pędził jak na śmierć owych żeglarzy, aż pomału, pomału, wiosłując bezustannie, zbliżali się ku przeciwnemu brzegowi, lecz że i brzegu nie było tylko płaszczyzna, przeto stały tu i ówdzie drzewa; w jedno takie drzewo łódź uderzyła, gdyż niepodobieństwem było nadać łodzi inny kierunek w tak szalonym biegu — łódź się rozbila, a żeglarze wpadli do wody! Lecz na szczęście w tym miejscu woda była już nie głęboka, to też skończyło się tylko na kąpieli — inne zaś łodzie były szczęśliwsze, bo uszły rozbiciu i wszyscy szczęśliwie wylądowali. Ten wypadek opowiadał mi Ferdynand Gajewski, sybirak, który przed niedawnym czasem umarł w Gorlicach.

Z Wiatki ruszyliśmy przez stacje 27. Żurańsk, 28. Pocielsk, 29. Bolszekiłynek, 30. Mukikasińsk, gdzie trzeba było znów przeprować się przez rzekę Wałę. Stacja 31. Simtatmezeńsk, 32. Kożyłsk, 33. Selengińsk, 34. Wińsk, 35. Zjabczyńsk, 36. Pocienka, 37. Czamoszung, 38. Żuryńsk, 39. Dolasza, 40. Czepeksk, 41. Klenowsk, 42. Sosnowsk, 43. Dobrowsk, 44. miasto powiatowe Ochońsk.

Z Ochońska znów musieliśmy się przeprować przez dużą rzekę Kamę do stacy 45. Połudena, 46. Kustajewska, a następnie do gubernialnego miasta Permy. Miasto Perm jest duże i leży u podnóża gór Uralskich w nader pięknej okolicy. Z Permy 47. stacja Kujanów, 48. Janyszewsk, 49. Krytosów, 50. miasto Kungur. Miasto Kungur leży już w górach Uralskich i ma prześliczny widok.

Jest ono główną arterią kopalni tutejszych złota, srebra, arseniku i nafty. Kungur odznacza się także i tem, że tu są owe przesławne garbarnie. W butach z prawdziwej kungurskiej fabryki, można stać cały dzień w wodzie, a skóra nie przemoknie i nigdy nie stwardnieje.

Od Kunguru ku następny stacyom prowadzi droga przez góry i doliny, urwiska i przepaście — jest to druga Szwajcarya! Gdyby nam było się dostało w udziale przejeżdżać po tej okolicy letnią porą i pod innymi warunkami, o! ileżby tu było wrażeń w tych górach niebotycznych i w tych otchłaniach przepaściowych! Co za czarujące widoki, co za głazy, dumnie sterczące ponad przepaściami — lecz my z tego wszystkiego mało co widzieć mogli, raz dlatego, że ciągle siedziało się w kibitce zabudowanej, a powtóre, że było to w spóźnionej porze, kiedy natura obumiera i wygląd ma smutny i ponury. Na jednej z późniejszych stacyj jechaliśmy z karkołomnej góry po grudzie i większych jeszcze od grudy kamieniach. Kibitka podrzucała nas w siedzeniach jak laleczki i przy jednym takim gwałtownym podrzucie o mało co że nie wyleciałem z kibitki, jak z procy, lecz skończyło się tylko na tem, że mi czapka z głowy spadła, po którą ani myśli było zlażyć, gdyż w razie zatrzymania się, mogły nas następne kibitki rozmiażdżyć. Troskliwy jednak a pomny na przestrogi żandarm, zaraz mi nakrył swoją czapką

głowę, aby mi nie umarzała. Jak to oni dbali o nas aby nas żywych i zdrowych odstawić tam, gdzie mieli zlecone.

Z Kunguru wieziono nas przez stacye 51. Byszujowsk, 52. Zabarskaja, 53. Złotomsk, 54. Bykowsk, 55. Aczyck, 56. Bichersk, 57. Klenowsk, 58. Kirgisański, 59. Cyrobowsk, 60. Bilimbajewsk, 61. Talice.

ROZDZIAŁ XI.

T a l i c e.

Mało jest miejscowości na tym Bożym świecie, które by były świadkami tylu łez wylanych, tylu westchnień, tylu rozdzierających serce i dusze scen okropnych, desperackich zawodzeń i lamentów jednych — a uciechy, szczęścia i radości — drugich! Tu dwa przeciwieństwa, tu dwa światy panują: świat boleści i świat rozkoszy, świat smutków i świat radości, świat nadziei i świat zwątpienia — życia lub śmierci — zmartwychwstania lub grobu!

Tu jest granica Europy i Azji.

Tu są owe dwa słupy murowane, owe martwe świadki ludzkich westchnień, łez i boleści! Tu każdy a każdy Europejczyk klęka przy słupie europejskim i żegna się — żegna się na długo, żegna się na wieki! Ten słup jest personifikacją i kraju i ziemi rodzinnej, przyjaciół i kochanek. Tu się każdy spowiada ze swego życia i odpuszcza nieprzyjaciółom swoim; tu odczuwa ów fatalizm i przeznaczenie i tę konieczność nieubłaganą i tę siłę wyższej woli — tu odczuwa Boga!

Ile ludzi tu łzy wylewało — wie to tylko Bóg!

Nie ma już miejsca na owym słupie, bo cały zapisany jest imionami i nazwiskami tych, którzy się tu

żegnali, opuszczając Europę ucywilizowaną, a wjeżdżali do Azji dzikiej, barbarzyńskiej. Moskale sami będąc zabobonni i fanatyczni, tutaj z całym pietyzmem żegnają się i modlą — i niema chyba ludzkiej istoty, ani w Europie, ani w Azji, któraby tu nie ukłękła i nie pomodliła się gorąco.

To samo działo się i z nami.

Gdyśmy się tutaj wymodlili i wyplakali, pożegnaliśmy i ucałowali po raz może ostatni ziemię Europejską i ów słup graniczny, mówiąc do niego: bywaj zdrow! gdyż oko nasze może ciebie już nie zobaczy!

Tak tedy z rozdartem sercem, przygębieni na duszy, sponiewierani na ciele, rozbici, roztrzęsieni, niewyspani, zmarznięci i głodni, ruszyliśmy w dalszy pochód, w owe Azyatyckie przestworza, w owe puszcze bezdenne. Mielśmy oglądać owe stepy, owe tajgi, owe lasy dziewicze, w których kniei nie było aż dotąd ludzkiej nogi od początku świata! Mielśmy oglądać ową ziemię, która nigdy nie rozmarza i owe zwierzęta, które natura ubrała w gęste i włochate runo i owe ptactwo tak cudnie i bogato upierzone. Mielśmy obcować z tym ludem na pół dzikim, koczującym w swych jurtach jak zwierzęta! Mielśmy w dodatku sami pracować w kopalniach jak zwierzęta i być do taczek przykuci!

O! wobec tych strasznych, desperackich myśli, i wobec takiej perspektywy, żeśmy nie postradali zmysłów, to chyba tłumaczy się jedynie tem, iż cierpienia owe, tak to fizyczne jak i moralne były ponoszone dla idei narodowej, dla ojczyzny umiłowanej, w towarzystwie tysięcy kolegów — współtowarzyszy niedoli, co dodawało nam często sił i otuchy — jednostka oszalałaby z pewnością!

Taką to jest owa stacya Talice, na wspomnienie której dziś jeszcze, po latach tylu, gdy sobie owe chwile uprzytomnię, serce mi się rozczuła.

Z tej przeklętej przez jednych, a ubóstwianej przez drugich — z tej fatalnej, a symbolicznej stacyi Talice — jechaliśmy z góry na złamanie karku do następnej stacyi 62. Bujeszatu. Z góry tej widać było, jak oko ludzkie zasięgnie step aż do złudzenia — to Azya! to kołbka rodu ludzkiego — a jednak dla Europejczyka pełna tajemniczych zagadek!

Z Bujeszatu przyjechaliśmy do miasta założonego przez Katarzynę carycę: Ekatarinburgu. I jak miasto Kungur otwiera, tak znów miasto Ekatarinburg zamyka pasmo gór Uralskich.

Z Ekatarinburgu pojechaliśmy do 63. stacyi Kosulina, 64. Bielajorsk, 65. Bielajki, 66. Barszin, 67. miasto Kamyszów, 68. Czemysko, 69. Pytajew, 70. Sugatsk, 71. Marków, 72. Tugulińsk, 73. Uspeńsk, 74. miasto powiatowe Tumeń. Z Tumenia 75. Wilszańsk, 76. Sozonowski, 77. Bakrowsk, 78. Juzakowski, 79. Ujewlewsk, 80. Boczaliwsk, 81. Botkaławsk, 82. Kutardiks, 83. Raczkańsk i wreszcie ów nieszczęsny a tak przez nas upragniony Tobolsk, do którego przeprawiliśmy się na rzece Tobol już po lodzie, gdyż tam wówczas, a było to dnia 12 grudnia 1863 r. panowały 20 stopniowe mrozy. Tak więc stosownie do polecenia, dokładnie co do dnia, bo w dniu 22 naszej podróży, przybyliśmy na miejsce przeznaczenia, przejechaliśmy 83 stacyj pocztowych, czyli przeszło 2.000 wiorst! Przyjechaliśmy wszyscy, gdyż i Moskale jakkolwiek byli świeżsi i nie tak wyczerpani poprzednio, a jednak ledwie na nogach każdy z nas mógł ustać z osłabienia i wycieńczenia.

Nam się zdawało, że to co było najgorszem, już minęło, już jesteśmy przebyli; a tymczasem to był dopiero wstęp, to był dopiero początek tych mąk katorżnych, które nas czekały.

ROZDZIAŁ XII.

T o b o l s k.

To wszystko cośmy dotąd przebyli w Europie lub Azji rosyjskiej, to było niczem jeszcze w porównaniu z tem, co nas czekało do przebycia w Syberyi. Pierwszym na tej drodze krokiem, pierwszym w tej otchłani piekielnej miastem Syberyjskiem jest miasto Tobolsk.

Tobolsk ma podobieństwo do Rzymu; zbudowany jest na siedmiu pagórkach. Miasto nie tak duże, jak rozwleczone; ma jednak w lecie piękny widok na rzeki, które go wzięły w dwuramienny swój uścisk. Z jednej strony otacza go rzeka Tobol, z drugiej zaś Irtysz.

Z Rosyi do Tobolska rząd w rozmaity sposób transportuje więźni, jednych tak jak nas extra-pocztą, innych, zwłaszcza letnią porą, rzekami t. j. tratwami, lub statkami parowymi. Nas przyjechało wówczas do Tobolska 80 politycznych, a że do tej liczby trzeba dodać drugie tyle żandarmów, stąd też wypływa, że nasz tabor składał się z 40 kibitek na całej tej przestrzeni od Niżno-Nowogrodu aż do Tobolska i że owe kibitki na każdej stacyi pocztowej musiały być w pogotowiu i czekać na nas, gdyż kto się spóźnił to dostawał bity! W Tobolsku też zastaliśmy już sporą liczbę więźni, lecz byli to sami zbrodniarze, lub brodiagi czyli włó-

częgi. Według statystyki rosyjskiej faktem jest, że rząd rosyjski wysyła do Syberyi rok rocznie wszelkich kategorii więźni 12.000!

Z tych dwunastu tysięcy w ciągu drogi $\frac{2}{3}$ ucieka lub wymiera, a $\frac{1}{3}$ zaledwie dochodzi do miejsca przeznaczenia. Z Tobolska bowiem rozpoczyna się dla wszystkich kategorii więźni piesza podróż tak zwanym: *Etapnom pariadkom*.

Etapy, są to rządowe budynki o czterech ubikacjach: 1) sala dla kajdaniarzy, 2) sala dla niekajdaniarzy, 3) sala dla kobiet i żonatych, 4) sala dla *posieleńców*, t. j. osób transportowanych lub zasądzonych na osiedlenie w Syberyi.

Etapy są dwojakiego rodzaju: cały etap i pół etap. Cały etap jest ten, w którym partya ma dniówkę, t. j. odpoczynek po dwudniowym marszu. Taki etap jest obszerny i jest zarazem siedzibą komendanta etapu i żołnierzy, którzy pełnią służbę etapną. Na komendanta etapu zwykle przeznacza rząd takie indywiduum, które się dosłużyło stopnia oficerskiego z prostego żołdata, lub takich, którzy zostali dyscyplinarnie wydalenii z armii — lub innych satrapów, których się wstydzi mieć w armii — ludzi bez wykształcenia, wyrzutków społeczeństwa, gorszych nawet od tych *brodiagów*! Oficer czyli komendant etapu, chociażby nawet był kiedyś porządnym człowiekiem, skoro go tylko za karę rząd na etap przeznaczy, to taki człowiek jest stracony moralnie, jest pozbawiony wszystkiego: świata, życia, towarzystwa — staje się wściekłym na cały świat, a że ma do czynienia ze samymi tylko zbrodniarzami i wyrzutkami społeczeństwa, przeto i sam staje się tyranem, barbarzyńcą, sam w końcu zwyrodnije.

Żołnierze zaś, są to przeważnie miejscowi, z tego samego powiatu lub gubernii — rezerwiści lub landwerzyści, którzy albo zaraz na stacyi, albo w bliskości

mają żony i gospodarstwo. Służba tych etapnych żołnierzy jest też nudna i monotonna. Partya taka więźniów regularnie przychodzi co tydzień na etap.

Otóż z pełnego etapu oficer z żołnierzami wychodzi ze swej stacyi wcześniej lub później — to zależy od odległości — i przybywa jeszcze przed przybyciem partyi, którą konwojuje taki sam oficer ze stacyi poprzedniej.

Tutaj obydwa oficerowie i obydwa wojska nocują; a na drugi dzień odbiera przybyły oficer papiery partyjne, t. j. spis osób, do jakiej kategorii kto należy; następnie rachują i przeliczają całą partyę, ustawioną w szeregi na deszczu lub mrozie, nieraz i po 10 razy, gdyż *brodiagi* częstokroć sami bałamuca — i nareszcie po sprawdzeniu i zakwitowaniu odbioru partyi — każdy oficer wraca do siebie, ten z żołnierzami, a ten z partyą do swego etapu. Następnego dnia dniówka, t. j. odpoczynek. Po dniówce znów odprowadza się partye na etap następny i t. d.

Tym sposobem służba etapna ma 5 dni w każdym tygodniu zajęte przyprowadzaniem i odprowadzaniem więźni, a resztę zaś czasu obraca na pełnienie służby etapnej, t. j. czyszczenie, zamiatanie, usuwanie śniegów, rąbanie drzewa i t. p.

Do Tobolska przyjeżdża się jeszcze po ludzku i na prawach ogólnospołecznych. W Tobolsku już raz na zawsze utracą się i prawa i charakter człowieka, a nabywa się miana „katorznika“! Od Tobolska począwszy nie wolno przywdziać na siebie żadnego własnego odzienia, a tylko *kazionne* czyli rządowe. Przed wyprawą otrzymaliśmy wszyscy, tak zbrodniarze, jak i my polityczni, jednakowe od stóp do głowy aresztanckie ubranie, a mianowicie:

1. otrzymaliśmy *katy*, to jest obuwie podobne do czółna — jest to trzewik olbrzymiej wielkości, do

którego się nazywa trzyłokciową z grubego sukna onuckę,

2. szarawary czyli spodnie z rozcięciami do zapinania na guziki nogawicami, również z sukna grubego, szarego koloru, które można zdjąć każdej chwili, nie zdejmując kajdan,

3. koszul 2, gaci 2 pary, też na guziki zapinane do zdejmowania przez kajdany, wszystko to ze zgrzebnego płótna,

4. korzuszek krótki, tak zwany półszubek,

5. korzuch długi czyli szuba,

6. czapka futrzana z zawiasami, t. j. z ruchomym daszkiem na przód, na kark i uszy,

7. rękawice po łokcie skórzane,

8. szynel czyli właściwie hałat.

Ten hałat czyli płaszcz jest najważniejszym ubraniem i każdy musi go nosić na sobie — gdyż na plecach tego hałata jest z czerwonego sukna wykrojony i wszyty as karowy, który z daleka wskazuje aresztanta, katorznika! Każda gubernia Sybirska wydaje takie same hałaty aresztantom, z tą tylko różnicą, że każda gubernia wstawia inne asy karowe: to z czerwonego, to z czarnego, to z żółtego sukna, jako swe godło gubernialne.

Tak więc wyekwipowani i przyozdobieni w czerwone asy, po ośmiodniowym odpoczynku, wyruszyliśmy z Tobolska dnia 20. grudnia 1863 roku, tak zwanem *etapnem pariadkom*.

Nim zapoznamy się bliżej z etapem, muszę obzajomnić czytelnika, co to jest katorznik i jak on wygląda. Otóż katorznikiem jest ten, kto popełnił zbrodnię, za którą został zasądzony do tak zwanych robót katorżnych, t. j. do robót ciężkich fortecznych lub kopalń syberyj-

skich. Katorżnikiem zowie się i dlatego, że jest piętnowany! To napiętnowanie odbywa się zaraz po zasądzeniu w następujący sposób: rozpala się stampilę czyli pieczęć do czerwoności, macza w roztworze farby hemicznej i na prawem policzku wypala dużą literę

K zielonego koloru, na czole zaś

A, a na lewem policzku

T, co znaczy

„Kat“ czyli Katorżnik.

Taki człowiek stracony już na zawsze, gdyż owo piętno hańby musi nosić do śmierci!

Tych zaś ucikiniarów bezdomnych, których łapia w czasie ucieczki, a którzy nie przyznają się do swego nazwiska, ani występku, tylko nazywają się *niepomnieszczemi* — piętnuje rząd na prawej łopacie mianem: *brodiaga* czyli włóczęga.

Szczęściem dla nas, że ten barbarzyński sposób piętnowania ludzi został co tylko przed naszym sąsiedzeniem zniesiony, gdyż i my bylibyśmy nosili na naszych czołach piętno „Kat“.

Obecnie golą tylko połowę głowy katorżnikom, któremu to prawu i my podlegaliśmy.

ROZDZIAŁ XIII.

E t a p e m.

Dante, w swej nieśmiertelnej, boskiej komedyi opisał nam piekło w całej okropności, zapomniał jednak dodać, że droga przez piekło, to jest właśnie owa droga etapem przez Sybir!

Gdyby Moskale żadnem więzieniem nikogo nie karali, mogliby nawet znieść karę śmierci — bo najzupełniej wystarczyłoby za wszelkie kary, gdyby tylko sądzili człowieka, aby zamiast ponosić karę śmierci, przeszedł tym etapnym porządkiem, bodaj tylko z Tobolska do Irkucka! Droga ta, czyli pochód ów, jest drogą i pochodem przez samo dno piekieł! Etap opisałem już w poprzednim rozdziale, tu dodam jeszcze i to, że każdy taki etap jest otoczony palisadą czyli ostrokołem tak, że światu bożego nie widać zeń, gdyż ów ostrokoł jest bardzo wysoki. Po za tym ostrokołem stoi żołnierz na warcie, raz po raz, całą noc z całego gardła krzyczy: *śluszaj!*

Partya składa się z politycznych i niepolitycznych, ze zbrodniarzy, rozbójników, *brodiagów* różnej narodowości i religii; lecz w tym steku ludzkiej mieszaniny nie znajdziesz żadnego człowieka w całym tego słowa znaczeniu, ani się nie dopytasz o żadną religię. Ten

tlum nie zna ani Boga, ani szatana — jest *niepomnieszczy*, jak sam powiada — on już tak całe życie chodzi, jak ów żyd wieczny Eugeniusza Sue... Z tych 12.000, które rząd rok rocznie wysyła do Syberii, powstało owo *perpetuum mobile*, które wiecznie idzie w Sybir, wiecznie z drogi ucieka, wiecznie go łapią, piętnują i znów szlą — i tak bez końca!

Partya taka składa się od 300 do 400 osób.

Nasza partya, gdy wyszła z Tobolska miała 260 osób, z tych nas politycznych było 80, a zaś owych brygantów było 180. Nie długo jednak cieszyliśmy się tem, że będziemy mieć na etapach dogodnie z powodu małej liczby, gdyż wkrótce z każdego następnego szpitala i z każdego następnego miasta przybywało i rosło aż urosło do 300. Każdy oficer etapny otrzymuje z kasy rządowej pewną ilość pieniędzy, które ma na wypłatę żołdu dziennego dla partyi. Żołd taki dzienny wynosi przeciętnie po 5 kopiejek na osobę, na katorżnika a nie na szlachcica — na szlachcica zaś, który nie jest pozbawiony wszelkich praw, wynosi 15 kopiejek. Tu jeszcze wypada mi objaśnić czytelnika z tą mianowicie okolicznością, jaki właściwie dla kogo zapadł wyrok. Jeżeli wyrok zapadnie z pozbawieniem praw, to wówczas choćbyś był nie tylko szlachcicem, ale hrabią lub księciem nawet, to jednak z pozbawieniem praw stajesz się niczem, jesteś zwykłym katorżnikiem i nic więcej. Kto więc jest do robót katorżnych zasądzony, to już tem samem jest pozbawiony *wszech praw dostojania*, jak nazywają. Kto zaś internowany w Sybir bez pozbawienia praw, temu się należy dziennego żołdu 15 kopiejek i furmanka do jazdy. My braliśmy w najlepszych tylko warunkach po 5 kop. dziennego żołdu, a były i takie miejscowości, że nam dawano tylko po 3 kop. Wobec tego pomyśl kochany czytelniku mój, jak można było wyżyć z 3, a choćby nawet i z 5 kop.?

Otóż posłuchaj! Rano przed odejściem, kupowało się bocheneczek chleba za 8 kopiejek i „krymkę“ czyli garczek mleka za 4 kopiejki i to się zjadało we czterech — po przybyciu na następną stację powtarzało znów to samo i to stanowiło nasze pożywienie — pojeść zaś, absolutnie nie można było wyjść na swoje. Wobec takich warunków odżywiania i przy ciągłym absorbowaniu sił, większa połowa szła do szpitali na tyfus i dalsze gorączki i szkorbuty, powstałe z wycieńczenia.

Rząd, aby sam owego żołdu nie był zmuszony każdemu z osobna wypłacać, ustanowił prawo, aby każda taka partya miała swego przedstawiciela, którego się zwie starostą. Taki starosta partyjny ma nie lada jaką władzę! On reprezentuje całą partyę, on jeden tylko może konferować z władzami, upominać o wszystko i dla wszystkich — on ma dbać o porządek partyjny, bo w razie nieporządku on odpowiada i jest karany różgami — on nareszcie rozdziela *podajanie* czyli jałmużny, które otrzymuje partya w każdej wsi od ludności miejscowej, jako to: chleb, kołacze, jaja lub pieniądze. Gdy partya aresztancka zbliża się do wsi, wówczas na sam front występują śpiewacy, którzy rozpoczynają pieśń żalowaną o swej doli i na żalowaną zawsze nutę, jak to oni nieszczęśliwi tułacze i wygnańcy, proszą o litość nad sobą i o wsparcie czyli *podajanie*. Pieśń ta jedna i ta sama i na tę samą nutę śpiewana bywa przez cały Sybir i we wszystkich partyach i niema prawie domu, z któregooby coś nie podano, coś nie wyniesiono dla *nieszczęsnych*, jak ich tu nazywają. Jeżeli czasem partya w ciągu dnia przechodzi przez dwie lub więcej wsi — co się jednak rzadko zdarza — to wówczas nabiera kilka worów owego *podajania* tak, że ma tego dnia czem żyć, a tem samem pieniądze żołdowe zaoszczędzić może na gorsze czasy.

Jaka tu wogóle, tak w Rosyi jako i Syberyi panuje gościnność, to już chyba nie nadybałbyś między żadnymi narodami świata większej gościnności, co tłómaczy się po części tem, że narody tamtejsze nigdy jutra nie pewne, a stąd daje się łatwo wyciągnąć wniosek, że co komu dziś, to jutro może się i mnie przytrafić — lub tem, że obecni mieszkańcy byli sami kiedyś tem, czem ta dzisiejsza partya, gdyż faktem jest, iż cała ludność Syberyi rekrutuje się z takiego społeczeństwa — z osiedleńców. Wobec tego czyż dziwno nam będzie, że owe tysiące aresztantów-uciekierów mają tu swe schronisko w tych tajgach? Oni tu pracują za pożywienie, oni tu w tych tajgach orzą, sieją, koszą — a gdy ich się dużo nazbiera a inni napływają — to znów idą do innej wsi, do innej tajgi, tam znów biorą się do roboty i tak idą, idą przez cały Sybir, bo tu ich nikt nie wyda, bo tu ich nikt nie zdradzi — aż dopiero w Rosyi ich łapią i znów na nowo szlą na Sybir.

Nic też dziwnego, że chłop sybirski daje chętnie owo *podajanie* każdej partyi, gdyż za to on sam nie a nie robić nie potrzebuje.

Tutejszy *mużyk* (chłop), gdy wstanie i zje śniadanie, to zabiera się i idzie do *kabaku* (karczmy) napić się *wadki* i grać w karty aż do południa lub do wieczora.

Warunki życia materyalnego są tu świetne! tutaj funt mięsa wołowego kosztuje 3 kopiejki!

Chłop tutejszy jest zamożny i uprawia tyle pola, ile może i chce — lub wycina tyle drzewa w lesie, ile mu potrzeba — bo tak ta ziemia dziewicza, jak i owe lasy dziewicze, są własnością cara samodzierżcy, który jeden na ziemi, tak jak jest jeden Bóg na niebie!

Gdyby nie owe mrozy, nie te pustkowia, nie ta tęsknota za ziemią ojczyzną — gdyby ten kraj był ucy-

wilizowany — to możnaby go śmiało nazwać krajem mlekiem i miodem płynącym, a najlepszy dowód w tem, że my za 5 kopiejek wyżyć mogli, będąc więźniami — a cóż dopiero na wolności?

Zbyt oddaliłem się od przedmiotu mego opowiadania i poszedłem aż na stepy i tajgi — lecz czas mi już powrócić na etap i opisać starostę partyjnego. Otóż, jak to już nadmienilem, każda partya musi mieć takiego starostę, wybranego ze swego grona. Na takiego to starostę wybiera partya zwykle największego zbrodniarza — kajdaniarza, takiego osobnika, co na całe życie jest skazany, i takiego, który ma lwią odwagę samemu nawet dyabłu napluć w oczy — który niema nic do stracenia i który już kilkakrotnie odbywał tę podróż, zna doskonale stosunki i władze — takiego robi partya starostą! Wyobraź sobie kochany czytelniku, że i my chociaż polityczni, chociaż Polacy, chociaż ucywilizowani — a jednak musieliśmy podlegać władzy takiego starosty partyjnego i nie mieliśmy prócz niego żadnej innej władzy ani opieki, gdyż taki komendant etapu nikogo nie chce znać, od nikogo żadnych zażaleń nie przyjmuje tylko od jednego starosty. W takich warunkach jeżelibyś długo pozostał, to utracisz wszelkie piękno, wszelką etykę — utracisz zmysły, utracisz czucie i — powoli, powoli staniesz się idyotą tak zwyrodniałym, jak i to całe otoczenie.

Jest prawo aresztanckie, że dla kajdaniarzy przeznaczone są tak zwane nary, czyli prycze w salach etapnych do spania. Otóż, gdyby kto inny, choćby nie wiem jak chory, śmiał na owych narach się położyć, toby pewnie dostał kajdanami w łeb; prawa albowiem tego nikomu nie wolno przekroczyć, kto niema kajdan. Myśmy prosili owego pana starostę, aby dla nas politycznych wyznaczyła partya jedną salę, abyśmy w niej sami tylko być mogli, lecz pan starosta na to nie przystał,

aż dopiero gdyśmy się za to ustępstwo zrzekli owego *podajania*, owej jałmużny z równego podziału, dopiero nam wolno było zajmować i to tylko na całym etapie, tam gdzieśmy dniówkę odbywali -- osobną salę, w której się nas mieściło ośmdziesięciu! Jeżeli na pełnym etapie, tam gdzie wszystkie ubikacje są o połowę większe od pół-etapu, była ciasnota, to możesz sobie drogi bracie wyobrazić, co za ścisk, co za ciasnota panowała na pół-etapach!

Abyś miał przedsmak tego — to posłuchaj:

Do stacyi, na której jest tylko pół-etap, przychodzi partya w nocy (bo zrobiła może z 5 mil w kajdanach) — głodna, okurzona śniegiem, lub zmoczona do nitki od deszczu — każdy zmęczony, znużony, pragnie położyć się i spać — nie zważając nawet na jadło — lecz partya składa się z 400 ludzi, a etap był zbudowany tylko na 200; więc dla dwustu niema miejsca — partya zatem nie lega, lecz prasuje się — ludzie leżą na sobie, pod sobą, siedzą, klęczą lub stoją oparci o ściany — przeklinają i złorzeczą całemu światu — istne piekło — istne szatany! Ile to razy ja sam byłem kontent, jeżeli mogłem oprzeć głowę o *poraszkę*, o ów „kibel“, z którego ekskrementa ludzkie kipiały z spełnienia!

O! jeżeli mi kochany czytelniku nie wierzysz i myślisz może, że przesadzam lub poluję na efekt — to ja ci powiem, że nie znasz dotąd ani świata, ani ludzi — bo w dziejach świata wszystko już było!...

Na pół-etapach niema ustanowionego porządku, tu panuje prawo mocniejszego, prawo pięści i kulaka. Gdy tylko partya cała u bramy etapowej się zgromadzi, gdy podoficer po raz dziesiąty przeliczy i gdy nadany znak bramę otworzą, to cała partya brygantów pędzi na złamanie karku, odpycha i kulakuje innych, aby tylko dopaść nar, aby tylko mózdz leżeć całą noc —

biada jednak tym, którzy w tej walce zostali obaleni o ziemię! bo po nich wszyscy będą tratować. — Takie stosunki tam panują i tak mało tam potrzeba do szczęścia!

Najgorszą plagą jest to, że w owych etapach wogóle niema wychodków tuż obok, a choćby nawet i na kurytarzach — lecz „kibel“ wstawiają do sali przepełnionej i drzwi od kurytarza zamykają. Jakie powietrze panuje w sali, która mieści w sobie sto osób cuchnących, brudnych, dziegiem przesiąkniętych — to przechodzi najbujniejszą imaginację! Powietrze przesycone gazami amoniakalnemi jest tak ciężkie, że lampa wprost gaśnie! Że jednak pomimo takich higienicznych warunków płuca nam od tego wszystkiego nie sparzywały i że dotąd człowiek żyje — to zapewne ma do zawdzięczenia Opatrzności w pierwszym rzędzie, a powtórę młodzieńczemu wiekowi.

Choćbym mógł wiele, wiele jeszcze mówić i pisać o tych okropnościach, o tych ofiarach i szkieletach wynędzniałych, wycieńczonych głodem i pochodem, o tych szpitalach etapnych, które są ciągle przepełnione tymi nieszczęśnikami, którzy w nich szukają pomocy lekarskiej lub odpoczynku, a znajdują takie same a czasem nawet i gorsze warunki, bo najpierw, że nie wiele może wzbudzić współczucia taki katorżnik-kajdaniarz, a powtórę, że lekarze zjawiają się w owych szpitalach raz, a najwięcej dwa razy na tydzień, co znów stąd pochodzi, że lekarz taki dojeżdża z miasteczka o mil kilka lub kilkanaście odległego, a powtórę, że taki lekarz ma kilka etapów czyli szpitali etapnych w swem rewirze i dlatego nie jest nawet w stanie zająć się chorym. Cała tedy opieka lekarska ogranicza się na prostym felczerze, częstokroć osiedleńcu i podobnego pokroju, jak i cała partya.

Również wiele bym mógł pisać o tej walce staczanej co dnia na etapach i pół-etapach, gdzie tylko zapomocą pięści można było dostać bochenek chleba lub „krymkę“ mleka zmarznietego! Kto tego nie dokazał, to marł z głodu, gdyż więcej było kupujących aniżeli sprzedających. Partya nieraz przeszła pięć mil drogi w kajdanach, szła cały dzień o lichem śniadaniu, a gdy przybyła do stacyi, była już noc. Przekupki, które czekały na nadejście partyi, w części się porozchodziły — zostało zaledwie parę — a tu wszyscy chcą jeść! Otóż powstaje walka o chleb, walka o mleko — kto silny a bezczelny ten kupił i zjadł, a kto nie miał odwagi, został odepchnięty lub wypoliczkowany przez *bryganta* lub *brodiagę* i poszedł o głodzie spać. Takie stosunki powtarzały się każdego dnia i na każdej stacyi.

Na to wszystko jednak spuszcza kurtynę i zostawiam to sprawiedliwości Bożej do sądzenia; to tylko jeszcze nadmienię, że jedyną korzyść jaką odnieśliśmy z tego obcowania z kajdaniarzami było to, że nauczyliśmy się nosić i chodzić w kajdanach. Aby mózdz, o ile to możliwem jest, chodzić w kajdanach, to trzeba sobie najpierw łańcuch kajdanowy przymocować na sznurku do pasa, a zaś obręcz opasującą nogę od strony zewnętrznej też uwiązać i umocować wyżej łydki, pod kolaniem, aby obręcz leżała równolegle i aby nie obcierała nogi, bez tego przyrzędu nie możnaby było robić nam każdego dnia od 3 do 5 mil, czyli od 24 do 40 wiorst drogi, albowiem stacye etapne mają taką mniej więcej odległość. Tym sposobem przebyliśmy więcej niż 1000 wiorst pieszo i w kajdanach!

Lecz nie koniec jeszcze na tem.

Jeżeli partya taka ma opinię *bluhonadiożnej*, t. j. spokojnej partyi, na tedy wszystko idzie zwykłym trybem; lecz niechno jaka jednostka poważy się władzy w czem sprzeciwić, wystąpić z jakim żądaniem, lub

upomnieć się o co ośmieli, o! wtedy cała partya dostaje dyby łańcuchowe na ręce i tak skuta po sześciu, musi iść czy deszcz czyli też mróz trzaskający! Ja od czasu zakucia mnie w cytadeli warszawskiej, nosiłem kajdany przez całe 5 lat! Mówią, że więźnia, który lat kilka był na galerach i włóczył kulę przykutą do nogi, można rozpoznać po tem, że już do śmierci będzie ową nogę włóczył za sobą — tak podobnie i ja włóczę moje nożyska, trochę to od kajdan a trochę i od starości.

W takich to warunkach szliśmy ciągle a ciągle w kierunku wschodnim, zbliżając się do miejsca przeznaczenia, szliśmy całe 16 miesięcy, szliśmy rok i miesiące cztery!

Całej tej podróży nie będę opisywał szczegółowo, nie będę przytaczał każdej stacyi po jej nazwisku, choć je mam dotąd spisane w mych pamiętnikach — boby to wiele zabrało miejsca — lecz ograniczę się tylko do niektórych miast i rzek, które swym ogromem zasługują na to wspomnienie, jak np. taka rzeka jak Jenisej lub taki Obi. Są to bezwątpienia najpiękniejsze rzeki Syberyi!

Otóż wyruszywszy z Tobolska w dniu 20. grudnia 1863 roku, szliśmy tak od stacyi do stacyi, czyli dwa dni idąc a dzień odpoczywając — szliśmy pomiędzy Tatory, Czeremisy, Czuwasy i Rosyan osiedleńców — do stacyi Czystiakowska, gdzie z powodu roztopów, tudzież ruszenia lodów na rzekach, musieliśmy odbywać czterdziestodniową kwarantannę.

Tutaj jakiegokolwiek miasto należy do białych kruków i trzeba nieraz przejść kilkanaście a czasem i kilkadziesiąt mil nim się na tej drodze człowiek z miastem zdybie, a przecież to jest jedyna droga i linia telegraficzna przez Sybir!

Wyszedszy z Czystiakowska, gdy już na nowo lody na rzekach stanęły, przybyliśmy do miasta Tory.

O trzy stacye za Torą przechodziliśmy po lodzie przez rzekę Irtysz. Następnie po długim przeciągu czasu przybyliśmy do miasta Kańska. Z Kańska przybyliśmy znów do miasta Kolywania. Miasto Kolywań leży nad ową olbrzymią rzeką Obi. Z Kolywania szliśmy lodem przez Obi na wyspę Ota-Orski-Dom zwaną. Z tej osady czyli z tej wyspy Ota-Orski-Dom, szliśmy jeszcze całą wiorstę przez rzekę Obi po lodzie. Tak idąc i idąc przybyliśmy do gubernialnego miasta Tomsku, przeprawiwszy się poprzednio pod samem miastem przez rzekę Tom po lodzie. W Tomsku byliśmy zatrzymani dla nieznanych nam powodów przez cały miesiąc. W ciągu tego czasu przybyły cztery nowe partye a z niemi sporo naszych braci. Skutkiem tego więzienia się przepelnily i powstał ruch towarzyski. Tutaj potworzyły się rozmaite partye, powstały rozmaite intrygi, rzucano rozmaite kalumnie, wytykano palcami szpiegów jeszcze z powstania na usługach Moskwy będących, a dziś zesłanych w Sybir; powstały sądy i wyroki na zdrajców i przeróżne awantury, o tyle przykre i nieuzasadnione, że stronie nie dano czasu, aby się mogła z danego zarzutu oczyścić, lecz bezwzględnie potępiono i wykluczono z towarzystwa. Te i tym podobne awantury wywoływane przez ludzi krewkich i wątpliwych tak nam obrzydły, że z upragnieniem już wyglądaliśmy tej chwili, aby się od tego towarzystwa uwolnić. W końcu nastąpił ten dzień upragniony i wysłano nas w dalszy pochód, lecz już w innem towarzystwie, tak naszych, jak i *brygantów*.

Następem miastem za Tomskiem jest miasto Marińsk. Z Marińska znów przebyliśmy rzekę Kiję, a następnie rzekę Krasną i przybyliśmy do drugiego, a właściwie po Tobolsku do trzeciego już miasta gubernialnego, Krasnojarska. Miasto Krasnojarsk czyli Jenisejsk położone jest nad dwoma rzekami: Krasną i Jenisejem;

stąd i jego podwójna nazwa: Krasnojarsk lub Jenisejsk. Okolice Krasnojarska jest największą plagą w Syberyi! Tu bowiem wskutek bagien i moczarów panuje owa plaga „moskitów“. Moskity lęgną się w owych moczarach miliardami jako muszki i literalnie wypełniają i zagęszczają powietrze! Nikt tutaj z mieszkańców letnią porą nie może nic ani robić w polu, ani podróżować, nie przywdziawszy włosiennej lub drucianej maski na twarz. Owad ten, jest tak dokuczliwy i natrętny, że lizie w usta, w nos, w oczy, w uszy — wypełnia przestrzenie powietrzne, nim oddychasz, polykasz go i nie możesz dać sobie rady; odurzejesz i gotówes zwarować! Wobec tej strasznej plagi partye nasze wychodziły z etapów do dnia lub nad wieczorem, w których to porach dnia niema takiej różki; lecz to wszystko nie wiele pomagało, muszka nas cięła i kąsała niemiłosiernie, bo rząd dla aresztantów niema siatek ochronnych.

Lecz, że wszystkiemu koniec być musi, przeto i nasza męka się skończyła, muszka nas nie zagryzła i zostawiliśmy ją, a sami przeszli do następnej już gubernii Irkuckiej. Z Tobolska do Irkucka jest ni mniej ni więcej tylko 3000 wiorst! Cała ta kolosalna przestrzeń jest prawie pusta! Jedyne osady ludzkie, t. j. wsie i miasta, leżą tylko na głównej i jedynej drodze rządowej; na prawo lub lewo widzisz albo step niezmierny albo niezmierne knieje leśne. Letnią porą podróż przez ten step jest bardzo malownicza. Tu widzisz cały step kwiatem ubarwiony, a wśród stepu jeziora z nieprzeliczonem mnóstwem nieznanego nam ptactwa, które nie zrywa się na widok ludzi, śnać niepłoszone przez nikogo. Oświata tutaj jeszcze niema przystępu, a wszystko tu żyje życiem natury!

Myśliwstwo jednak jest tu sportem, gdyż w każdej wsi i na każdym domu suszą się skóry niedźwiedzie i to nie jedna lub dwie, ale i po 10 na jednym wisi

domu. Jakkolwiek niedźwiedź u plemion tutejszych jest symbolem bóstwa, to jednak po zabiciu dopiero go przepraszają, że oni nie są winni jego śmierci, lecz ci, co wynaleźli proch i kule, które go zabijają. Po upolowaniu niedźwiedzia schodzi się cała osada do owego bohatera, który celnym strzałem niedźwiedzia położył, a on musi wyprawić im stypę, w czasie której zdejmują skórę z niedźwiedzia i nad każdą częścią ciała jego lamentują. Szkielet zachowują jako mit i składają mu ofiary, by dusza jego na tamtym świecie nie cierpiała niedostatku.

Ja sam w owym pochodzie etapnym byłem uczestnikiem i służyłem za naganek w polowaniu na niedźwiedzia, a było to tak: Na pewnym etapie w lesie położonym, dano znać komendantowi, że niedźwiedź jest o sto kroków od ostrokołu etapnego na skraju lasu. Komendant znać był myśliwy, to też natychmiast zarządził, aby *wsiech Palaków* zabrać na naganek, a zaś sam z wojskiem uzbrojonym w karabiny poszedł na polowanie. Polowanie nie było trudne, bo niedźwiedź śnać musiał być już ranny i uciekać, a tem mniej rzucać się na nikogo nie myślał. Gdyśmy uzbrojeni w pałki podeszli z tyłu i krzyknęli „hura“, niedźwiedź powlókł się w stronę żołnierzy, którzy dali do niego jeszcze co najmniej dziesięć strzałów zanim go trupem położyli.

Prócz chęci polowania, zauważyłem u tutejszych mieszkańców niepospolity gust i talent rzeźbiarsko-budowlany. Domy tutejsze są piętrowe z balkonami i gankami. Na piętrach mieszkają w lecie, a w suterenach w zimie. Parkany, bramy, facyaty i balkony są bardzo gustownie rzeźbione.

Każda wieś jest symetrycznie pobudowana, ma ulice, place etc., tak jak miasta i w milowym promieniu jest ogrodzona płotem wokoło. Na trakcie do wsi lub ze wsi wiodącym, są domki pobudowane kosztem

gminy, w których mieszkają stróże, również przez gminę utrzymywani, którzy otwierają lub zapierają bramy w tem ogrodzeniu za przejezdny. Na całej tej milowej przestrzeni, opasanej płotem, pasie się inwentarz domowy niezbędny, t. j. konie, bydło i trzoda — reszta zaś inwentarza znajduje się w tajgach i stepach; również i orne grunta leżą dopiero po za obrębem ogrodzenia. W lecie właściciele gospodarstw wyjeżdżają na całe tygodnie w owe tajgi, tam uprawiają grunta, koszą owe stepy, stawiają stogi i sterty ze sian, które mają służyć w czasie zimy na karmę i pożywienie inwentarza.

Chłop syberyjski jest nieraz właścicielem tysiąca koni, tyluż owiec, prócz krów, które się tylko w owym ogrodzeniu pasą. Tutaj natura ma swoje panowanie! Każde stado koni ma swego stadnika — a gdy na bój śmiertelny wystąpią takie dwa stadniki, to bój trwa dotąd, dokąd jeden z nich nie polegnie; wówczas zwycięzca obejmuje władztwo nad obydwoma stadami.

W tych to tabunach hodują właściciele w sztuczny sposób konie, którym od młodości przywiązują albo do przedniej prawej lub lewej nogi głowę i tak ich zmuszają do chodzenia i biegania czas dłuższy. W ten sposób powstają owe „orły“, owe trójki zaprzężnięte w „orla“, gdzie to prawy koń na prawo a lewy na lewo noszą łby tuż po nad ziemią, a zaś koń środkowy, mając łeb przymocowany do hołobli między dwoma dyszlami, musi nosić głowę wysoko — co wszystko jako całość, bardzo pięknie wygląda.

Jest jeszcze inny rodzaj koni stepowych, tak zwanych *winochodźców*. Te konie mają ten przywilej, że stawiają nogi bokiem, t. j. przednią prawą i tylną prawą razem i znów lewą przednią i lewą tylną razem. Konie takie mają bardzo szybki bieg, lekko noszą jeźdźca i nie męczą się, dlatego też poszukiwane są

jako konie wierzchowe; jednak tego rodzaju konie są bajecznie drogie. Czy to jednak są wybryki natury, czyli też dzieło ludzkiego przemysłu — o tem konkretnej prawdy nie mogłem się od nikogo dowiedzieć.

Już po raz drugi w tym rozdziale popuściłem wodze fantazji i zboczyłem z drogi etapnej między stada koni stepowych i *winochodźców* — bo jakżeż tu nie zaznajomić czytelnika z tymi cudami przyrody! Lecz wracam na etap i zaprowadzę cię, kochany czytelniku, do stolicy Syberyi, do Irkucka.

ROZDZIAŁ XIV.

I r k u c k.

Stolica Syberyi — Irkuck, to już wielkie miasto, miasto europejskie! Irkuck będzie już może niezadługo dla Rosyi tem, czem był dla Rzymian Konstantynopol. W Irkucku napotkasz cały ucywilizowany świat. Tu są kupcy, przemysłowcy, agenci, artyści i literaci — magnaci, bankierzy i spekulanci — tu są Amerykanie, Chińczycy z długimi warkoczami, Mongołowie, Japończycy, Indyanie — a w tym całym konglomeracie najwięcej Polaków. Sama Rosya co tylko ma najzdolniejszego w swem państwie, a tem samem nie *blahonadionego* czyli niepewnego, czy to w wojsku, czy w personalu urzędniczym, to wszystko wysyła pod rozmaitymi pretekstami do Irkucka. Dlatego Irkuck, to cywilizowana Rosya — Petersburg, to despotyzm.

Nic też dziwnego, że my, cośmy już byli o wszystkim zwątpili, doznaliśmy w Irkucku wcale ludzkiego przyjęcia i traktowania. Dano nam, wogóle politycznym, osobne więzienie, odłączono od zbrodniarzy i traktowano po ludzku. Może w części wpływała na to i ta okoliczność, że w Irkucku jest szpital dla obłąkanych, który był już naówczas przepelniony samymi Polakami dawniej zesłanymi. Ponieważ nasz pawilon wię-

zienny łączył się z pawilonem dla obłąkanych, przeto widziałem tych nieszczęśliwców pozbawionych rozumu, widziałem melancholików, furiatów i szaleńców, którzy w swym napadzie szału w najokropniejszy sposób zło-rzeczyli i wyklinali Moskali. Serce się krajało na ten widok ludzi młodych, ludzi zdolnych, oderwanych od ojczyzny i zaprzepadzonych! Władza Irkucka dozwalała nam z dwoma żołnierzami udawać się na miasto dla zakupna lub innych sprawunków, dzięki też temu rozporządzeniu, mogliśmy się choć w części zapoznać z miastem. Lecz i to niedługo miało już trwać, bo owa nieubłagana nemezis pchała nas dalej a dalej — jakoż wkrótce przyszedł rozkaz wyeksperyowania nas za Bajkał, do kraju zabajkalskiego, do owej tak zwanej zabajkalskiej *obłosti*.

ROZDZIAŁ XV.

B a j k a ł.

Z Irkucka do Bajkału jest tylko trzy stacye drogi. Bajkał jest to olbrzymie jezioro, mające sto mil długości, a od trzydziestu do czterdziestu szerokości. Ponieważ Irkuck leży nad rzeką Angarą, która wypływa z Bajkału, przeto całą tę przestrzeń idzie się lewym brzegiem rzeki Angary. Nie widziałem w mojem życiu drugiej takiej rzeki, nie widziałem takiej złośliwej wody, któraby z takim zagniewaniem, z takim złowrogim pomrukiem i z taką wściekłością staczała się po kamieniach i niszczyła wszystko w około: góry, brzegi, kamienie wszelkie i wszystko to, co napotka w swym szalonym pędzie! Tłómaczy się to jednak tem, że wypływ rzeki pomiędzy dwoma skałami, jakby bramę tworzącemi, a otaczającemi jezioro Bajkalskie jest wąski; stąd też pochodzi owo parcie.

Już od pierwszej stacyi za Irkuckiem jesteś oczarowany urokiem tej dzikiej, a tak cudownej okolicy! W niektórych miejscach droga prowadzi tuż po nad Angarę, po nad brzegi przepaściste; wtedy cała partya milczy, bo choćbyś się nie wiem jak silił wołać i krzyczeć, to przecie nikt cię nie usłyszy, bo ów ryk, szum, owo wycie Angary jest silniejsze od tysiąca piersi ludzkich! To druga Niagara!

Ponieważ te okolice zamieszkują Buryaci, wyznania Buddy, przeto między innemi bóstwami mają także bożka wód. Takiego to właśnie bożka wód widziałem na Angarze. Jest to wyspa skalista, granitowa, osadzona na samym środku Angary, a przybrana przez kapłanów i łamów buryackich w chorągiewki białe, czarne, czerwone, zielone, niebieskie, żółte, siwe, srokatę: to jest ów bożek wód.

Jeżeli który Buryat popełni czyn zbrodniczy i skazany jest na karę śmierci, naówczas zbiera się cała procesya Buryatów, łamów i kapłanów z okolicy, biorą owego delikwenta, który ma umrzeć, i oświadczają mu, że jeżeli mu bóg wód przebaczy to i oni mu przebaczą, pod tym jednak warunkiem, jeżeli dopłynie przez Angarę do owego kamienia granitowego na środku rzeki Angary, do owego boga wód. Wtedy następuje coś strasznego, następuje walka człowieka o życie lub śmierć, następuje walka z żywiołem wody, wody szalonej i rwącej, głębokiej i zimnej! Oddala się tedy ów fanatyk, ów delikwent tak daleko, jak uzna za odpowiednie — rzuca się w wodę, płynie — lecz i pływanie nie wiele pomoże, bo woda tak rwąca, iż przewala się ciągle i kipi — więc też i owego zuchwalca pochłania i zalewa. Ale ów fanatyk ma wiarę w bożka wód, przeto wydobywa się znów na wierzch i płynie; zdarza się — mówią — dość często, że dopływa; kto zaś nie był w łaskach u boga wód, tego Angara rozbiła i poszarpała w kawały po kamieniach, które porywa i toczy. Gdy zaś ów delikwent-fanatyk dopłynął szczęśliwie do owego kamienia, do owego bóstwa wodnego, nately kapłani jadą na łodziach po niego, a przywiózłszy go na brzeg, padają przed nim na twarz, całują mu nogi i odtąd on już staje się kapłanem, bo jest w łaskach u boga.

Taka to jest owa rzeka Angara i tacy jej bogowie!

Na ostatniej stacyi, już na trzy mile przed Bajkałem, zaczyna on widnieć. Najpierw widać owe dwie olbrzymie góry, ową bramę, która w swym żelaznym uścisku zamknęła wypływ Angary. Początkowo widać jakby jaką gwiazdę błyszczącą, jak jaki meteor, który migoce — następnie jakby zwierciadło olbrzymie, które w miarę, gdy się zbliżasz do niego, rośnie, potężnieje i błyszczy. O! to już nie zwierciadło, to już ogrom lustra, to już ogromna szyba wodna! Nie widziałem nic w mojem życiu piękniejszego ani wspanialszego nad ten widok! Idziesz i patrzysz, zamieniasz się cały w patrzyńce i jeszcze oczom swoim nie wierzysz i myślisz że to ułuda. Natura tutaj się wysiliła nim stworzyła to cudne uroczysko! Tutaj góry zwalone na góry i poszarpane w kawały! Naokoło widzisz olbrzymie stożki i kratery wulkaniczne, które dyszą i sapią i huczą i grzmia i dymią i ogniem zieją! I patrzysz na to wszystko i jeszcze nie dowierzasz rzeczywistości i nie wiesz, co się z tobą dzieje i gdzie jesteś — jesteś w zachwyceniu! Taki to jest ów Bajkał, czyli owo *świętoje morie* (święte morze), jak go tutaj nazywają.

Nareszcie stajesz w porcie. Teraz dopiero zaczyna cię ogarniać strach i groza! Teraz słyszysz grzmot, huk i jęk taki ogłuszający, że porywa cię lęk i trwoga. Fale owych wód Bajkału uderzają z taką siłą, z taką mocą o skaliste brzegi, że woda rozpryskuje się, miażdży się na pianę i kipi jak ukrop! Bajkał bowiem jest najbardziej burzliwym jeziorem. Jest on na podobieństwo naszego Morskiego Oka prawie bezdenne, gdyż głębokość jego najmniejsza wynosi 10.000 metrów! Tutaj w okolicy Bajkału biorą początek owe olbrzymie góry, owo pasmo gór Jabłonnych. Już za Bajkałem, od strony południowej, leży miasto Kiachta, owa komora, sławna handlem herbaty karawanowej. Kiachta od Mongolii, prowincyi chińskiej, jest zaledwie 8 wiorst odległą.

ROZDZIAŁ XVI.

N a B a j k a l e.

Z uwagi, że owe trzy stacye z Irkucka do Bajkału są górzyste a drogi lichy i po nad przepaściami brzegów Angary, przeto owe stacye są małe, co też było powodem, żeśmy już około godziny trzeciej popołudniu przybyli do portu bajkalskiego. Statek parowy i żaglowy o dwu kominach już czekał na nas. Jak wszystko w Rosyi za *kaziennie* (rządowe) pieniądze jest lichy, tak też i ów statek na cześć namiestnika Syberyi, Korsakowem zwany, był lichym pudłem z jeszcze gorszą obsługą. Majtkowie na tym statku musieli być Mongołami lub miejscowymi Buryatami, gdyż wszyscy nosili długie warkocze. O godzinie 6 nad wieczorem, tego samego dnia, wsiedliśmy na ów statek „Korsakow“ i odjechali. Ledwo ujechaliśmy może z 5 mil od brzegu, gdy się zerwała burza.

Nie będę próbował, ani się kusił daremnie opisywać burzę morską — kto ciekawy to niechaj sam spróbuje, a wtedy przekona się, że wszystkie owe okropności opisywane o burzach morskich nie są ani wypływem bujnej fantazyi, ani też bajkami z tysiąca i jednej nocy — lecz są straszną rzeczywistością! Burza na jeziorze Bajkalskiem należy do strasznych burz mor-

skich! Burza owa była tak nagła, tak gwałtowna i tak wściekła, że nimeśmy się opamiętali, byliśmy już rozbici i woda już zalewała statek. W okamgnieniu zerwała burza żagle, potargała liny, połamała maszty i zmiotła wszystko, co było na pokładzie! Statek to zapadał się w przepaść pomiędzy dwa balwany ogromne jak piramidy egipskie, to znów wypływał na powierzchnię, jak wieloryb dla odetchnienia powietrzem! Rze czy nasze, jakie kto miał, węgle i wszelki ciężar, kazał kapitan wyrzucić do Bajkału. U dwóch pomp stanęło po 40 osób dla pompowania wody, która pogrążała statek. Wszelki ratunek zdawał się być daremny! Burza miotła statkiem jak lupiną i przechylała to na ten to na ów bok. W kajutach nikt nie ustał na nogach, lecz każdy się przewracał i tłukł głową o boki statku. Choroba morska zapanowała ogólnie. W wyrazie i rysach twarzy każdego czytałeś śmierć! Oczy miały wygląd dziki, straszny i obłąkany przestachem — policzki ci zapadły w jednej chwili tak, że za życia wyglądałeś jak umarły! W takich okropnościach gnani ową mocą, ową potęgą natury, ową furią — zostaliśmy wtłoczeni na mieliznę piaskową i tym sposobem ocaleni. Gdyby nas owa burza była uderzyła o skałę, to nie zostałoby z nas ani śladu! Cudowne ocalenie nasze trzeba przypisać i tej okoliczności, że burza owa gnała nas i pędziła tam, skądśmy przyszli, gnała nas do portu, do płaskobrzeżu. Niebo nas ocaliło i niebo nie chciało nas dopuścić do przeciwnego brzegu Bajkału, bo wiedziało, że nas tam czekają nowe męki, nowe katusze.

Gdyśmy już na mieliznie osiedli i byli cudem opatrności uratowani, wtedy to kapłan poważny wiekiem, któremu broda do pasa urosła w więzieniu i posiwiiała, niejaki ks. kan. Stecki, miał do nas gorącą przemowę na temat religijny, a na podziękowanie Panu Bogu za cudowne ocalenie zaintonował: Święty Boże! O czytel-

niku drogi! jeśliś niedowiarkiem i nie umiesz się modlić, to posłuchaj naszej pieśni, owego rzewnego hymnu: Święty Boże. Każdy a każdy, ilu nas było, czy to Polacy; czy Moskale, czy Mongoli, czy Buryaci śpiewali, czy umieli czy nie umieli — śpiewali z nami i płakali! Upadłszy na kolana, śpiewaliśmy z całych sił, z całej duszy, śpiewaliśmy tak, że aż żyły w szyi nabrały nam jak powrozy od nateżenia!

Tejże samej nocy przybyły po nas łodzie z portu i całą noc przewożono nas napowrót do portu, a na drugi dzień około 10 godziny zrana wyruszyliśmy znów na nowo, ale już nie „Korsakowem“, lecz jakimś innym statkiem, którego nazwę zapomniałem. Dzień to był przesłiczny po owej burzy, to też i jazda nasza przez Bajkał była przyjemna. Woda na Bajkale była jak szyba, cisza panowała uroczysta i słychać było tylko łopotanie kół nabierających wodę, a za statkiem widniał długi i głęboki gościniec i dwie groble z wodą spienioną — to droga, którą przechodził statek.

Wszyscy staliśmy na pokładzie i zachwycali się owymi cudami przyrody i fantastycznym widokiem brzegów Bajkalskich.

Zimową porą Bajkał cały zamara, a lód grubieje na dziesięć metrów. Czasem lód strzela a huk ten słychać na kilka mil! Wówczas powstają rozpadliny nie do przebycia i zdarza się, że podróżni jadący na saniach muszą nawracać, gdyż takiej szczeliny konie nie są w stanie przekroczyć. Rząd, jeżeli przez Bajkał w porze zimowej wysła partye aresztantów, to wiozą one ze sobą prócz prowiantów także i deski pomostowe, po których się przejeżdża na wypadek, jeżeli lód pęknie.

Pierwszą stacją i portową przystanią na przeciwnym brzegu Bajkału, jest Posolsk.

Podanie miejscowe mówi, że za bardzo dawnych czasów przybyło w te strony dwóch kapłanów misyo-

narzy chrześcijańskich i zaczęło tutaj nad brzegami jeziora opowiadać słowo Boże, i że owych posłów Bożych Buryaci zamordowali i stąd ma pochodzić nazwa Posolsk. Gdyśmy tedy w owym Posolsku wylądowali, statek nasz dał sygnał świstawką i na odchodne dwa razy z armaty wystrzelił, jakby się tym sposobem chciał z nami pożegnać. O! wierząc mi, bracie drogi, że wszyscy płakaliśmy, jak dzieci, bo każdemu przyszło na myśl, że stąd już niema powrotu do Ojczyzny i że już tego nawet może nie doczekamy, aby ów statek znów kiedyś przyjechał po nas i przewiózł nas na brzeg przeciwny tak, jak nas teraz odwiózł i porzucił na kształt rozbitków jakich! Do tego żałośnego i rozpaczliwego nastroju przyczyniło się i to, że po raz pierwszy zobaczyliśmy tu ludzi całkiem nowych, tak mężczyzn jak i kobiety. Przyjechali oni na nasze przyjęcie i przywitanie na koniach w korzuchach, chociaż to było lato; ludzie ci o wąskich i małych oczkach, grubych i wystających kościach twarzowych, płaskich twarzach, małych brodach, rzadkim zarostie twarzy — słowem, istoty monstrialne, należą do pół-dzikich i koczujących plemion Buryatów i Tunguzów, którzy tu wiodą swe nędzne życie.

Dziwolągów tych, obojga płci, przybyło ze trzydzieści na nasze przywitanie i przywieźli nam ryby suszone ponabijane na tyczki; to było wszystko co w tem pustkowiu można było kupić do pożywienia! Buryaci owi nie znają chleba ani nie trudnią się żadną uprawą ziemi, a za całe pożywienie służą im ryba, tak zwana „omol“. Ryba omol, tak jak śledź, znajduje się w Bajkale i służy dla całego zabajkalskiego kraju za specjalne pożywienie.

Tutaj dopiero ujawnia się prawdziwy obraz nędzy! żadnego życia, żadnego ruchu, wszystko martwe, wszystko głuche i zamarłe!

Bajkał tylko jeden wre i kipi życiem i daje pożywienie.

Ryb wszelkiego gatunku i wszelkiego rodzaju posiada on moc niezliczoną i niezmierną. Na własne oczy widziałem w Irkucku raka w Bajkale ułowionego, który miał cztery pudy, t. j. około 200 funtów wagi! Raka owego wieziono na wozie; był on przymocowany łańcuchem do osi, a nogi, czyli kleszcze, przynajmniej dwa sążnie długości mające, wlokły się po ziemi. Potwór ów był czarny jak sadza i strasznie wyglądał. Pożegnawszy się ze statkiem, który nas odjechał, pożegnawszy się z Bajkałem i wyplakawszy się do woli — ruszyliśmy przygnębieni, bo widzieliśmy już teraz dobrze, co nas czekało dalej; wiedzieliśmy, że z każdym krokiem zapadamy się w przepaść i że już tutaj przyjdzie nam marnie zginąć!

ROZDZIAŁ XVII.

Kraj Zabajkałski.

Wielkie pytanie zachodzi, co Moskale rozumieją pod nazwą Kraju Zabajkałskiego, a co pod nazwą *Zabajkałskiej Obłości*?

Mnie się zdaje, że pod nazwą Kraju Zabajkałskiego rozumieją oni owe niezmierne przestrzenie lądowe, położone nad morzem Lodowatym i ciągnące się ku południowi, a graniczące z prowincjami Chin: Mongolią i Mandżurią — ciągnące się hen ku wschodowi i zamknięte morzem Ochockim na wschodzie, a Kamczatką i cieśniną Beringa na północnym wschodzie. Lecz to jest tylko moja hipoteza.

Co zaś do drugiego pytania, t. j. *Zabajkałskiej Obłości*, to mnie się zdaje, że właśnie ta okolica nadbajkałska aż po miasto Nerczyńsk wraz z miastem gubernialnem Czita, jest właśnie ową *Zabajkałską Obłością*, a to z tej uwagi, że dalsze ziemie tego kraju po za Nerczyńskiem, noszą nazwę ziemi Amurskiej czyli Amuru.

Mniejsza jednak o to, jak myślą Moskale; mnie tylko chodzi o to, aby czytelnika zaznajomić z tym krajem i jego mieszkańcami, i z tem także, jakieś tu podróżowali i cośmy wycierpieli zanim przybyliśmy do Czity. Charakterystycznym jest, że jak tylko Moskale partyę aresztantów za Bajkał odwiezają, to już tak wy-

głada, jakby im cały ciężar spadł z serca i już wcale nie troszcza się o to, żeby im kto uciekł z drogi, bo pytam się, dokąd ma uciekać? Do Japonii, któraby więźni politycznych najżyczliwiej może przyjęła — absolutnie dostać się nie może, gdyż przez Mandżuryę żywy nie przejdzie, zwłaszcza, jeżeli nie zna języka. Do Mongolii? — poco? chyba na pieczeń dla Wielkiego Mongoła! — Omijać zaś Bajkał, omijać Irkuck — ha — może, ale musi być w każdej chwili przygotowany na śmierć głodową lub rozszarpanie przez wilki i niedźwiedzie, których tu jest więcej aniżeli u nas wróbli!

Więc dokąd ma uciekać?

Może zapuści się rzeką Amurem i dotrze do Miłojajewska na wschodzie — lub może uda się na południe i zajdzie aż do Władywostoku, a tam będzie chciał wsiąść na okręt jaki — ale jaki? kiedy tam Moskale! Więc może będzie uciekał aż do Kamczatki i przez cieśninę Beringa będzie usiłował po lodach, tak jak pierwszy człowiek, dostać się do Alaski?! O! naprawdę ci mówię, że niema dla ciebie ratunku i że musisz trzymać się partyi i etapu, jeżeli nie chcesz marnie zginąć w tym kraju. To też partya nasza szła ze zwieszonymi głowami, pieła się po górach Jabłonnych o głodzie, bo za całe pożywienie miała tylko rybę, którą płukała herbata.

Jeden artykuł, jedna herbata, co jest tutaj bajecznie tania, jak i wogóle na całym pograniczu chińskim.

Całą podróż i wszystkie momenta z pobytu mego na Syberyi pamiętam doskonale, a przecież ową drogę od Bajkału aż do Czityy najmniej pamiętam, co pochodzi zapewne stąd, że wówczas zamarła w nas dusza i już o nic nie dbaliśmy, ani też na nic nie zwracali uwagi, szliśmy obojętni na wszystko, szliśmy jak na stracenie. Taka to apatya ogarnia człowieka, jeżeli w tem szamotaniu się z losem zwątpi już o wszyst-

kiem! Jednem słowem szliśmy nie konwojowani przez nikogo, bo tylko mieliśmy zaledwie pięciu lub sześciu kozaków, którzy nas konwojowali i do etapu wskazywali drogę. Wojsko tutejsze ma cały rynsztunek wojenny i konia w domu; do służby staje, gdy go zawezwają, a potem znów do domu powraca. Są to tubylecy, t. j. Buryaci lub Mongoli.

Rząd rosyjski ma chytrą politykę i umie zjednywać sobie plemiona, które ujarzmia — oto jak on postępuje: Książąt owych pół-dzikich plemion Buryackich zaprasza albo i przemocą bierze do Rosyi, do Moskwy i Petersburga, tu pokazuje im świat dla nich nowy, świat wielki — zaprasza do teatrów, zaprasza na dworskie obiady a nawet sadza przy swym boku i ugaszcza sam car — w końcu obdarza *chrestami* i medalami, a tak ozdobionych i udekorowanych odsyła napowrót do ich plemion. Nie też dziwnego, że gdy taki patryarcha, taki książę owych plemion powróci na stepy i zacznie opowiadać o swem u cara przyjęciu i o tem, co on to widział i jaki to ten car silny, choć tak łaskawy — robi to ogromne wrażenie; tym sposobem dzieje się, że plemiona te są spokojne i robią chętnie, czego rząd od nich wymaga.

Takich książąt buryackich widziałem sam na własne oczy, gdyż oni niezem się nie różnią od innych Buryatów, jak tylko tem, że na swej czapce futrzanej noszą gałki srebrne, wielkości orzecha włoskiego, umocowane na wierzchu czapki. Mieszkają w sposób koczowniczy w jurtach, o których będzie mowa na innem miejscu. Osady ich są ruchome i przenośne; dziś widzisz jurt kilkadziesiąt dymiących, a zaś jutro niema po nich ani śladu! Tak przenosząc się z miejsca na miejsce, wiodą oni tu swe koczownicze i marne życie!

Do opisu plemion tutejszych powrócę jeszcze na innem miejscu; na zakończenie zaś tego rozdziału do-

dam, iż jedyną ulgą dla nas w tym tak dziwnym, martwym, bezludnym i górzystym kraju było, żeśmy sobie sami porozbijali kajdany i zamiast na nogach, nosili je we workach aż pod samą Czitę. Przed Czitą trzeba było przechodzić owe olbrzymie góry Jabłonne, których pasmo ciągnie się aż gdzieś do Mikołajewska, czy też do Kameczatki; w kajdanach niepodobieństwem byłoby iść pieszo i skakać, jak gemza, ze skały na skałę. Do Czity jednak przybraliśmy się po formie, t. j. w kajdany, jak na prawdziwych przystało katorżników.

Gubernatorem miasta Czity czyli wszechwładnym samodzięcą zabajkalskiego kraju, był podówczas niejaki generał Ditmar. O tym dygnitarzu nic nie mogę powiedzieć, bom nie miał szczęścia widzieć nawet jego oblicza. Miasto gubernialne Czita jest dość duże, rozwlekłe i drewniane, położone na równinie. Tutaj odpoczywaliśmy przez dwa tygodnie, a następnie wyprawieni zostaliśmy rodzajem pocztowym, t. j. tarantasami aż do Nerczyńska. Że z Czity wysłali nas pocztą mongolsko-buryacką a nie *per-pedes* jak dotąd, to mamy do zawdzięczenia nie Ditmarowi, nie rządowi moskiewskiemu w ogóle, lecz miejscowym stosunkom kraju. Oto z Czity aż do Nerczyńska jest step, jak oko ludzkie sięga daleko i szeroko, a na owym stepie wszystko można nadybać prócz człowieka! Jakim tedy sposobem i skąd się brały na każdej imaginowanej stacyi na stepie owe tarantasy i owe konie na arkan chwythane i poraz pierwszy zakładane do tarantasu naszego — o tem ci mój kochany czytelniku nic nie powiem, bo ja sam do dziś dnia nie wiem. Prawdopodobnem atoli jest, że na tych stepach żyją koczujące plemiona, o których się nie wie ani skąd pochodzą, ani też gdzie się podziewają — przeto prawdą jest tylko to, że są rzeczy na świecie o których się nawet filozofom nie śniło!

ROZDZIAŁ XVIII

Szalone jazda.

Kto nie jechał owym stepem buryacko-mongolskim z Czity do Nerczyńska, ten nie może mieć nawet pojęcia o konnej jeździe! Już w poprzednich rozdziałach pisałem o owych koniach stepowych, o owych orłach i winochodźcach, a tutaj tylko dodam, że tu każdy koń to orzeł, bo też takich koni jak tutaj, to niema nigdzie, ani w Arabii nawet!

Tutaj karawana gdy idzie z herbatą, to idzie naraz 300 powózek jednokonnych a na każdej powózce jest pięć cybików¹⁾ z herbatą, a każdy zaś taki cybik ma 6 pudów²⁾ wagi. Powózka taka, jest to po prostu mały wózek oszalowany, który ma na tyle żłóbek na karmę dla konia. Mówię na tyle, bo od pierwszego aż do ostatniego, każdy następny koń, jest przywiązany do poprzedzającej powózki, w której ze żłóbka je ustawicznie obrok, a tym sposobem spieszy i ciągnie usilnie w razie przeszkód, najpierw dlatego, że jest upięty i zerwałoby go silnie, gdyby się myślał ociągać, a po wtóre, że trzyma się paszy lub obroku. Karawana taka, to łańcuch nieprzerwany, przed którym musi zjeżdżać

¹⁾ Cybik jest to paczka obszyta w skórę.

²⁾ Pud ma 40 funtów.

z drogi każdy, choćby to był nawet sam car! A co to za konie w owych idą telegach! to olbrzymy nie konie! co za kształty, co za piersi, jaka głowa maleńka, jakie oko duże, jakie to grzywy bujne i wspaniałe! A kto tych koni nie widział, kto nie doznał zawrotu głowy od tutejszej jazdy, ten, mówię wam raz jeszcze, nie może mieć dokładnego pojęcia, ani wyobrażenia, tak o koniach, jako też i o owej szalonej jeździe. Posłuchaj tedy czytelniku o jeździe naszej przez ów step:

Oto na stacyi stoją już tarantasy, my wsiadamy po czterech do każdego tarantasa, bo taki jest przepis. Buryaci przyprowadzają konie, które dopiero co były złowione na arkan w stepie i mają być pierwszy raz zakładane. Konie te mają wygląd dziki i wystraszone: chrapy rozwarte, oczy wystraszone i wybałuszone, cały koń trzęsie się, jak w febrze, rży i szamota się bez końca, pomimo tego jedni go trzymają a inni zaprzęgają, a gdy już wszystko gotowe i furman, *izwoszczyk*, w rękawice skórzane aż po łokcie uzbrojony, aby mu lejce skóry z rąk nie osunęły, okręcił lejce koło rąk, wówczas ci, co konie trzymają, ostrzegają nas, krzyząc: *dzierżys!* a sami zaś odskakują od koni a *jam-szczyk* (furman), jak nie krzyknie: *Uf!* wówczas oddaj się Bogu! konie porwą cię i uniosą i pędzą jak wichry, tak, że tylko powietrze świszcze ci koło uszu, a podczas tej jazdy szalonej nie możesz ani oddychać, ani nic nie słyszysz, ani nic nie widzisz, tylko słyszysz ów ciągły świst koło uszu i widzisz rozszalałe konie i siedzisz jak odurzony i nie wiesz co cię czeka, co cię spotka lada chwila, lada moment!

Lecz niema o to obawy, tutaj step równy jak po stole, więc możesz sobie użyć do woli! To też, ochłoniwszy z pierwszego przerażenia, nabierasz odwagi i zaczynasz się rozglądać w sytuacji, a żeś zdrów i cały, więc i ciebie ogarnia ów zapal i tybys tak leciał, leciał

bez końca w tej zawierusze, w tej fantazyi. Powoli, powoli konie zwalniają biegu, zaczyna się z nich kurzyć a następnie całe są w pianie. Na każdej prawie stacyi jakiś koń padnie, a nieraz zdarzało się, że para koni zaprzężonych do jednego tarantasa padła, ale to nic, bo jeszcze jeden pozostał, ten wszystko przetrwał, bo to koń domowy i zaprawiony, to też tym się przyjeżdżało do stacyi a czasem przychodziło piechotą, bo konie padały lub ustały tak, że kroku postawić nie mogły. Lecz to wszystko nie zmieniło postaci rzeczy; wszędzie była taka jazda, bo Buryaci na to nie zważali: u nich niczem jest strata jednego lub i więcej koni. Ta szalona jazda z Czity do Nerczyńska trwała 18 dni! Owych tarantasów, które tu kursują, opisywać nie będę, gdyż i u nas coś podobnego jest już w modzie. Jest to zwykły wóz o czterech kołach z długą rozworą. Obok rowory są jeszcze dwa, jeżeli grube, lub cztery cieńsze dragi przymocowane do osi przedniej i tylnej. Na tych dragach przymocowany jest wasąg do siedzenia dla osób jadących i furmana. Tarantas taki ma te kardynalne przymioty, że nie trzęsie tak jak kibitka, która znów słynie z tego, że w niej można duszę wyzionąć.

Teraz się mnie zapewne kochany czytelniku ze-chcesz zapytać, czem żyliśmy w tym stepie bezludnym? Otóż ci powiem, że gdyśmy wyjeżdżali z Czity, rząd polecił nam zaprowiantować się w pewną ilość sucharów¹⁾ i herbaty, któryby to zapas wystarczył nam aż do Nerczyńska. Tymi to sucharami i herbatą żyliśmy owe ośmnaście dni naszej szalonej jazdy. Straży wojskowej nie mieliśmy prawie żadnej, boć owych sześciu żołnierzy nas konwojujących, chyba za straż uważać nie można, oni tylko reprezentowali rząd wobec tych plemion koczowniczych, mieli też dbać i oto, aby ta-

¹⁾ Suchary, jest to suszony chleb.

rantasy i konie były gotowe i aby nas oddać władzy Nerczyńskiej.

O dwie stacye przed Nerczyńskiem, jest wieś zamieszkała przez osiedleńców moskiewskich. W tej to wsi spotkał nas wypadek, który tu chcę opisać. Do owej wsi przybyło jeszcze przed naszym przyjazdem 50 żołnierzy, inwalidów, którzy powracali do swej matki Rosyi, wysłużywszy swoje lata gdzieś na Amurze, czy Sachalinie, a może nawet w Kameczatce. Ci żołnierze znajdowali się u *gałowy*, czyli u wójta w kancelaryi gminnej, i chcieli *par-fors* zajmować owe tarantasy dla nas przeznaczone, aby nimi czempredziej odjechać mogli.

Ponieważ nasz oddział jechał nieraz rozciągnięty po całej stacyi, co zależało od ręczności koni, bo, kto miał lepsze, ten przyjeżdżał wcześniej, a komu zaś konie padły, to włókł się o jednym koniu, lub szedł resztę drogi piechotą, przeto na owe borykanie się urzędu gminnego z żołnierzami, który nie chciał dać zająć żołnierzom dla nas przeznaczonych wozów, nadjechały pierwsze tarantasy, wiozące na szczęście ludzi energicznych i silnych, a między innymi największym siłaczem był niejaki Józef Czechowicz, Lwowianin, już nie żyjący, który nie wiele myśląc jak nie gwiźnie poza uszy tego i owego sądata, który się zaraz nakrył nogami; ponieważ żołdactwo było pijane, przyszło do wielkiej bójki. Na to hasło, że: „naszych biją!“ każdy kto jeno nadjechał, łapał co miał pod ręką, czy kół z płotu, czy kamień, i dalej hura na Moskale! Wściekłość była tak wielka, że nasi jak oślepieni, nie pytając już o nic kto winien a kto nie winien, prali i walili każdego, kto się nawinał i niezadługo rozbito w puch całą wieś; który mógł, to ratował się ucieczką. Siła też była po naszej stronie nie lada, bo było nas wówczas 80 samych Polaków. Cała wieś uciekła w las, a my jeszcze

chodzili jak szakale, aby jeszcze kogo dopaść izemścić się. Wkońcu we wsi nie było ani żywej duszy!

Aleć po tej kampanii trzeba było się na nowo zebrać, trzeba było coś uradzić i czemś się pożywić przeto nie odjechalśmy już tego dnia, lecz założyli obóz, ustawili warty, bo była obawa, że Moskale mogą w większej sile powrócić, i zanocowaliśmy. Lecz płonne były nasze obawy, Moskale przepadli i nie widzieliśmy ich już więcej.

Na drugi dzień naradziwszy się z naszym kometantem, który nam dodał otuchy i przyobiegał nas wyręczyć w tłumaczeniu tego zajścia i całą winę zwalić na owych inwalidów, ruszyliśmy do Nerczyńska. Po przybyciu do Nerczyńska i po złożeniu raportu przez naszego dowódcę o całym zajściu, ani nam włos nie spadł z głowy. Nawiasowo nadmienię, że z tymi żołnierzami, których było sześciu do samego konwojowania, obchodziliśmy się całą drogę po przyjacielsku, to też i oni się nam za to też odwdzięczyli tem protokolnem oświadczeniem, że myśmy nic nie zawinili, inaczej kto wie coby nas czekało.

Ze wszystkich może miast sybirskich, to Nerczyńsk ma najwięcej Polaków tu osiadłych po odbyciu kar więziennych, lub wprost tu na zamieszkanie przybyłych.

My jednak tutaj bawiliśmy tylko dni ośm, gdyż rząd wyznaczył nam na stały pobyt miejscowość Kliczkę, dokąd nas też wyprawiono.

ROZDZIAŁ XIX.

N e r c z y ń s k .

Nerczyńsk jest miastem powiatowem i słynie ze swoich kopalń srebra i złota. Leży on nad rzeką Szyłką, która następnie wpada do Amuru. Graniczy także z Mandżuryą, tylko o kilka wiorst odległą. Położenie ma pagórkowate, a klimat dość znośny, jak na Syberję. Kopalnie srebra, którego tutaj jest wielka obfitość niemal w całej Syberyi, rząd porzucił, gdyż mu się to nie opłacało, albowiem czego nie ukradli aresztanci, używani do tych robót, to zabrali dozorecy. Za moich czasów wydobywano srebro w Kutamarze, Katui, Katamarze i Akatui; złote zaś kopalnie prowadzono na wielką skalę — jak o tem obszerniej będzie mowa na innem miejscu — używając do tego aresztantów i zbrodniarzy, zesłanych za karę.

Pracowało tam nieraz po więcej jak cztery tysiące zbrodniarzy.

W Nerczyńsku zresztą bawiliśmy tylko bardzo krótko, gdyż nasi ciągle, a ciągle za nami przyjeżdżali, więzienia się przepełniały, to też rząd moskiewski starał się jak najprędzej nas ulokować na stałe, aby w Nerczyńsku opróżnić więzienia dla świeżo przybywających.

ROZDZIAŁ XX.

K l i c z k a.

Miejscowość Kliczka leży na samej prawie granicy Mandżuryi. Jest to okolica naga, pagórkowata, dzika i smutna. — Ludność tubylców jest mieszana i składa się z Buryatów, Tunguzów i osiedleńców.

Więzienie nasze było drewniane, na uboczu i za wsią położone; miało cztery ubikacye dość szczupłe. W niejakiem zaś oddaleniu była kordygarda, to jest odwach dla wojska nas pilnującego, a dalej budynek dla komendanta. — Do tego przybytku na mieszkanie i roboty, przybyło nas sześćdziesięciu samych Polaków. Do tego to pustkowia i tej ciszy zamarłej, gnano nas tysiące mil. Tutaj przebyliśmy dwa lata! Dwa lata ła-two powiedzieć, ale dwa długie lata przemęczyć się, dwa lata być dzień i noc pod zamkiem, dwa lata mieć kibel pod nosem i takowy sobie wnosić i wynosić, dwa lata chodzić dzień w dzień do roboty w kajdanach, o to przykra rzecz.

Kopalnie tutejsze są zaniedbane: szachty stoją pu-ste i drabiny, po których górnicy-aresztanci kiedyś się spuszcza-li, stoją połamane i czekają lepszej przyszłości. Nie ma w nich żadnych ulepszeń, żadnych przyrządów technicznych, do kopalni wchodzi się po dziesięciu lub piętnastu drabinach! Nim po tych drabinach zejdziesz

na dół, to nogi ci mdleją i cały się trzęsiesz, i gdyby nie poważy na każdej kondygnacyi drabinowej, to nie jeden spadłby wskutek zawrotu głowy i zabiłby się. My również nie byliśmy tutaj używani do kopalń, lecz dla nas wymyślono inne roboty; my wszyscy, którzy byliśmy w Kliczee, czy stary, czy młody, mieliśmy na żarnach. Tutaj mam obowiązek objaśnić czytającego, jaka jest taktyka moskiewska i jaka chytra przebie-głość co do robót katorżnych więźni. Roboty aresztan-tów katorżnych są przymusowe. Z uwagi jednak, że roboty te są ciężkie a nieraz i nad siły zwykłego oso-bnika, przeto rząd wszystkich więźni, do robót skaza-nych, przekazuje pierwszej lekarzom rządowym, którzy orzekają, czy dany osobnik zdolny jest fizycznie wy-konywać roboty rządowe lub nie; jeżeli zdolny, to mu już nie na świecie nie pomoże, żadna go już władza nie uwolni i robić musi! Jeżeli się zaś pokaże, że ów osobnik niezdolnym jest do wykonywania robót *kazien-nych* (rządowych), tedy idzie do osobnej tiumry, między innych podobnych inwalidów i tam nie żyje, tylko we-getuje, gdyż ma dostawać tylko czwartą część tej stra-wy, jaką dostają ci, którzy pracują. Dlatego już lepiej jest, oczywiście kto może, robić i być odżywianym, aniżeli siedzieć bezczynnie i być morzony głodem! My również przebyliśmy szczęśliwie ową rewizyę i zosta-liśmy uznani za zdolnych do wszelkich robót. Więc jak to już wyżej powiedziałem, mieliśmy na żarnach. Mel-liśmy więc każdy dzień, nie wyłączając żadnych świąt, prócz świąt Wielkanocnych przez dwa dni, Bożego na-rodzenia jeden dzień, oraz dni galowych, dni carskich imienin, wstąpienia na tron, koronacyi, narodzin i t. p. W niedziele zaś lub inne święta robiliśmy tak, jak w dzień zwykły.

Mieliśmy tedy na dobę zemleć po dwa pudy żyta surowego! Dwa pudy równa się naszemu pół korcowi,

przeto melliśmy po pół korca żyta w zwykłych naszych ludowych żarnach ręcznych.

Był o dwieście kroków od kazamat naszych dom drewniany, czyli raczej szopa, w której we dwa rzędy ustawione były żarna na sześćdziesiąt osób, a w pośrodku był kurytarz dla spaceru dyżurnego podoficera, wojsko mieściło się w przedsionku. Do tego to przybytku, przychodziliśmy co dnia i zastawali już zboże przygotowane, każdy otrzymał wór dwupudowy i rozpoczęła się muzyka. Kto dostał dobre żarna, dobre kamienie, temu jeszcze było półbiedy, ale komu się dostały żarna liche, o ten miał pracę Herkulesową zanim podolał zgiełdać owe dwa pudy. Użyłem wyrazu „zgiełdać“, ponieważ to chyba wyraz najstosowniejszy. Wskutek tego gieldania żarn, powstawał taki jakiś nieokreślony zgierut, stuk i klekotanie jak na łysej górze, gdzie to czarownice odbywają swe dyabelskie harce! Każdy zgięty, zadumany, spocony, każdy się kiwa niby żyd nad pacierzami i obraca i sam się kręci i obraca, ciągle w koło w jedną stronę i na jedną nutę, nie wiem czy może być jaka robota więcej nudna i monotonna!

Osoby starsze wiekiem nie mogły podolać owemu gieldaniu, aleć zato kto pierwiej zmełł, ten pomagał drugim i tak szło wszystko w porządku, gdyż w razie niezmielenia przeznaczonego *uroku* (wymiaru) czekała *katałaszką* o chlebie i wodzie! *Katałaszką* jest to więzienie w więzieniu, jest to komórka ciasna, ciemna i niska, do której się zamyka krnąbrnego, lub nieposłusznego na 24 lub 48 godzin za karę, dając mu na dobę funt chleba i dzbanek wody!

O tej to *katałaszcze* opowiem następującą historię: Ponieważ kilkakrotnie prosiliśmy miejscowego komendanta, kapitana, aby nam pozwolił ów fatalny kibel stawiać na kurytarzu, nie zaś jak dotąd w stancyi, a to na nic się nie przydało, przeto znalazł się jeden odwa-

żny zuch i siłacz, co jednym uderzeniem kolana rozbił drzwi od kurytarza i ów kibel tam wyrzucił. Żołnierz na warcie stojący zrobił alarm, że Polacy się zbuntowali, zbudzono dyżurnego oficera, który wpadł z wojskiem, lecz nic nie mógł zrobić, bo my wszyscy niby to spali spokojnie o niczem nie wiedząc, a zaś drzwi owych nie mógł zamknąć, bo były potrzaskane. Tak więc owa noc zesła Moskałom w strachu i trwodze.

Nieszczęście jednak chciało, o czem my oczywiście nie wiedzieli, że właśnie w dwa dni później, miał do nas przybyć książę namiestnik Korsakow, o którym już wspomniałem, na *presmotr*, czyli oględziny, czy jest wszystko w porządku po więzieniach i czy więźniowie nie mają jakich zażaleń.

Po poprzednim oczywiście raporcie naszego komendanta, że my się buntujemy, bo tam wszystko buntem się nazywa, Korsakow pyta się nas, kto to zrobił, lecz że nikt a nikt nie odpowiada, wówczas Korsakow mówi: „*Daju wam czestnoje słowo na to, że — mówi — nie chcę was wszystkich ukarać, tylko winnego, a jeżeli go nie wydacie, to wszyscy będziecie karani*“. Na to występuje chłop jak dąb, był to ś. p. Józef Czechowicz, Lwowianin, i powiada: „Ja, panie generale!“ Korsakow widać na to nie był przygotowany, to też jakoś zgłupiał, lecz, że w gruncie rzeczy był to godny człowiek, to też w końcu powiada: „*Żeś się sam dobrowolnie przyznał, dostaniesz katałaszkę 24 godzin*“. I na tem się skończyło.

Tak mieląc, przemeliśmy dwa lata w owej Kliczce! Melliśmy nie tylko dla siebie, ale i dla innych naszych braci, a nawet i dla wojska.

W polityce moskiewskiej wszystko jest przewidzianem, to też i nam nie pozwolili być długo na jednym miejscu, ale przenosili jednych tu, a innych tam, aby czasem nie zawiązały się bliższe stosunki zażyłości

z władzą lub ludnością miejscową i nie nastąpił z tego powodu jaki spisek lub bunt, jak go tu Moskale nazywają, to też i nas przetransportowano z Kliczki do Kary. Nim jednak przyjdzie mi opuścić Kliczkę, muszę także wspomnieć i o tem, że tu mieliśmy wyborny tytoń przemycany z Mandżuryi, tak zwany tytoń mandżurski, który miał ogromne żółte liście i był wyborny tak na cygara, jak i na papierosy. Ustawa rosyjska zabrania wprawdzie aresztantom palenia tytoniu, ale można było łatwo przekupić żołnierzy, krórczy nam go dostarczali.

Prócz tytoniu mieliśmy i inny przysmak z Mandżuryi, były to przemycane owce mandżurskie, które tem się odznaczają, że mają płaskie i długie ogony, wiszące im do kolan a zawierające sam tłuszcz. Taki ogon zowie się *kurdiuk* i waży nieraz i dziesięć funtów smalcu, a smalec ten, jest bardzo dobry tak do potraw, jak i do zwykłego jedzenia. Bez żalu opuszczaliśmy Kliczkę, bo to monotonne życie bardzo się nam uprzykrzyło; lecz trafiliśmy z deszczu pod rynnę, jak się o tem wkrótce czytelnik przekona.

ROZDZIAŁ XXI.

K a r a .

To, co prawili nam, i dotychczas nie jedni prawią o piekle, to są tylko chyba urojenia chorej wyobraźni fanatyków, lub ludzi o bujnej fantazyi, to są hipotezy. Ja, co byłem w faktycznem piekle i sam byłem potępieńcem, ja też wiem najlepiej o tem, gdzie jest owo piekło i jak wyglądają jego męczarnie! Jeśliś ciekaw mój czytelniku, to chodź ze mną, a ja cię zaprowadzę do Kary i pokażę ci piekło, słuchaj: Kara, to jedno słowo objaśnia już wiele, bo objaśnia, że to jest miejsce karom poświęcone. Kara, jest to kopalnia złota. Tam pracuje rok rocznie około 4.000 największych zbrodniarzy skazanych na całe życie! Miejscowość ta leży nad rzeką Szyłką, między górami, między lasami, w kotlinie głębokiej i dzikiej. Kopalnia sama, czyli *rozrez* jest to kotlina, przez którą płynie strumyk, na którym zbudowana jest maszyna, czyli płuczkarnia, która wypłukuje i oddziela piasek od złota. *Rozrez* czyli właściwa kopalnia jest od *tiurmy*, to jest od owego kryminału, o jedną wiorstę drogi odległą i obejmuje przestrzeń dwuwiorstową.

Robota dzienna na owym *rozrezie* jest następująca: Cała partya aresztantów podzielona jest na grupy, składające się z czwórek, a każda taka czwórka

stanowi dla siebie osobną całość. Gdy partya rano wyrusza z kazamat, na ów *rozrez*, to każda taka czwórka ma zabrać po drodze z magazynów: 1 łom, t. j. drąg żelazny, do wyważania kamieni; 2 biki, czyli kilofy do kopania kamieni; 2 łopaty i 2 taczki.

Taka każda czwórka musi na owym *rozrezie* wykopać i wywieźć na maszynę, na ową płuczkarnię jeden sążeń kubiczny, w przeciwnym bowiem razie otrzymuje chłostę! Tu muszę jednak zaznaczyć, że teren kopalniany nie jest tak łatwy do wykonania tej roboty, ziemia choć piaskowa, ale kamienista, trzeba więc wydobywać kamienie i układać w sągi, i trzeba ów piasek złotodajny wozic na taczkach nieraz pół wiorsty, lub czasem i wiorstę drogi do maszyny, a to w miarę tego, jak ta robota od maszyny jest odległą! Całą zaś tę robotę trzeba wykonywać, stojąc w wodzie po kolana! W lecie na tym *rozrezie* słońce pali jak w Afryce, wietrzyk nawet tu niema przystępu, bo góry naokół wysokie zamykają wszelki przystęp świeżego powietrza. Tłumy niezliczone różnych owadów gryzą cię i tną do krwi! W zimie zaś od stania w skrzepłej wodzie kostniejesz i dzwonisz zębami od zimna! A jakież pożywienie otrzymujesz przy tej okropnej pracy? Oto posłuchaj: Wychodząc rano z *tiurmy*, dostaje każdy dwa funty grubego, ościastego chleba na cały dzień. Na *rozrezie* tak po jednej, jak i po drugiej stronie maszyny, są olbrzymie kuchnie z takimi kotłami, jak u nas rezerwoary na naftę! Kucharzami są ci sami zbrodniarze a wyglądają jak istne szatany w tym gorącu i w tej parze, i tym pół nagim kostyumie! Na obiad dostaje każdy pół funta mięsa, lecz posłuchaj jakie to mięso. Z wołu przeznaczonego na obiad zdejmują się skóra, a resztę z nogami, kopytami, rogami i wszystkimi bebeczami pakuje się w kociół! Miejskowa władza robi na tem dobre interesa, gdyż ta nadwyżka

w wadze idzie do jej kieszeni. Do tego wołu dodaje się kaszę, jeżeli to ma się nazywać krupnikiem, lub wkłada się kapustę, jeżeli to ma być *szezi*, czyli kapuśniak. W kuchni owej, czyli w tem piekle, jest taka masa owadów, much, karakonów, świerszczy i pluskiew, że tego wszelkiego niechlujstwa tyle do owych kotłów, do owych rezerwoarów nawpada, iż tworzy się warstwa dwucalowa samego robactwa! Jeżeli byś mi bracie drogi nie chciał dać wiary, gdyż to rzeczy bajeźne, to ja cię ostrzegam, byś się sam kiedy tam nie dostał, bo musiałbyś sam z takim apetytem zajądać owe przysmaki, z jakim myśmy je polykali! W tym warze owego piekielnego kotła, gdy się już wszystko na młóto rozgotuje, wówczas wybierają kucharze mięso i układają na ogromne w okół stoły na kupeczki, na porceye dla każdego.

Gdy na *rozrezie* na południe zadzwonią, idziesz na obiad do owej kuchni, niosąc drewniany szafliczek, który wzięłeś był sobie rano, wychodząc z *tiurmy*. Do owego szaflika ciska ci jeden kucharz ową kupkę mięsa, na której przez ten czas usiadło robactwo a on je zdusił, biorąc ową kupkę w rękę, i idziesz znów do drugiego, który trzyma na długiej żerdzi czerpak, którem czerpie z kotła ów krupnik lub kapuśniak czyli owo *szezi*, i wlewa ci ten prawdziwy bulion, po którym pływa mnóstwo różnorodnego robactwa, no — i jedz, boś głodny jak wilk! Dość powiedzieć, jeżeli powiem, że sami ci zbrodniarze, aby się od tej pracy i od tego wszystkiego uwolnić, odbierają sobie życie! Inni zaś mniej odważni a może więcej do życia przywiązani, przebijają sobie nogi na wylot owemi żelaznymi drągami, aby pójść do szpitala i aby się uwolnić od tych robót, którym nie mogą podołać.

A cóż dopiero mówić o tem ustawicznem nękanu i o tych rewizjach, które się powtarzają co dnia w słotę

czy pogodę, mróz czy kurzwę, rewidują owych zbrodniarzy, powracających wieczór do domu, rewidują ściśle, bo aż do naga trzeba się zwłóczyć, a pomimo tego dzieją się kradzieże i żadna większa samorodka złota nie dojdzie cara, lecz dostanie się żołdatowi za 50 kopiejek, który ma znów swoich odbiorców i dostanie za samorodkę złota 5 rubli, która warta 50 rubli. Biada jednak temu, u którego znaleziono kradzione złoto! taki otrzymuje chłostę od 100 do 1000 różek.

Pod owe czasy komendantem w Karze był niejaki major Kopienko, Litwin zmoskwiczały, ale pomimo tego niezgorszy w gruncie człowiek; on robił, co mógł, aby nam ulżyć w tej ciężkiej doli, lecz i on nie mógł pomódz nam wiele, jak to zaraz zobaczymy.

W dzień w którym przybyliśmy do Kary, padał deszcz i myśmy przyszli nad wieczorem zmoczeni do nitki. Posłano nas tam, a nie zapytano się nawet komendanta, czy ma nas gdzie umieścić! Oficer dyżurny przyjął nas i kazał wpakować do starej *tiurmy*, która nie miała ani dachu, ani pieców, ani nar do spania; wody było wszędzie po kostki, i tam mieliśmy mieszkać. Gdyśmy to zobaczyli, cała partya wysworowała się nazad na podwórze i oświadczyła oficerowi, że chociażby nas kazał i pozabijać, to do owej *tiurmy* nie pójdziemy i że raczej wolimy raz już umrzeć, aniżeli dozwolić się tak męczyć. Oficer kazał wojsku złożyć broń do ataku a sam posłał kozaka z oznajmieniem do Kopieńki, że Polacy się zbuntowali. Jakoż w kilka minut przyjechał major Kopienko i w najokropniejszy zaczął nas besztać sposób, mówiąc że on ani nas tu nie ściągał, ani nie wyglądał, a skoro — mówi — *naczalstwo* was tu przysłało do mnie, to nie po to, abym was wziął pod pierzynę, lecz przysłało was tu do roboty jako katorżników, a skoro zaś — mówi — nie mam innego lokalu, to musicie tymczasem zająć ten, jaki

jest, aż wam z czasem będę mógł ulżyć i nowy dla was dom wybuduję i t. p. Na takie *dictum* nie było co mówić, bo mówił prawdę, tylko uszy po sobie położyć i wracać w kałużę i nocować w tej psiarni! Na drugi już dzień pognano nas na *rozrez* do roboty, a że nie byliśmy jeszcze sformowani na czwórki, to też dano nam inne roboty, więc jedni wywozili kamienie na brzegi i ładowali na fury, inni szlamowali dno owej rzeki, która jest ciągle zamulana piaskiem z owej maszyny płuczącej złoto, a którą wskutek tego trzeba ciągle szlamować. Ta robota mnie się najczęściej dostawała z powodu wysokiego wzrostu, była nie tak ciężka jak niezdrowa, gdyż kogo tam przeznaczono, ten musiał cały dzień stać w wodzie powyżej kolan, a cóż dopiero w dnie zimne, słotne, w jesieni albo i w zimie? Lecz i tak byliśmy tem zadowoleni, bo nie mieliśmy robot wyznaczonych.

Kopienko dotrzymał słowa i więzienie nowe wystawić nam kazał i wkrótce opuściliśmy ową stęchłą norę, w której musieliśmy leżeć na ziemi mokrej, a przenieśli się do nowej *tiurmy*. Niedługo jednak opatrność ulitowała się nad nami i wybawiła nas z tej kaźni, z tych czeluści piekielnych!

Gdybym jednak żył sto lat, tysiąc lat, to i tak nigdy, przenigdy nie zapomnę, że byłem zesłany przez Moskali żywcem do piekła.

ROZDZIAŁ XXII.

Beklemieszówka.

Nietylko biologowie i badacze przyrody stwierdzili sprzeczności w naturze, które nazwali dwójkami, jak: niebo i ziemię, ogień i wodę, dzień i noc, ducha dobrego i ducha złego, samca i samicę, cierpienie i radość; jak również odkryli wiele przemian gatunków i przeobrażeń! Takiej metamorfozie i my ulegli, skoro po rocznem pobycie w Karze, wyszliśmy na światło dzienne jakby na nowo narodzeni! Z czeluści piekielnych wzięto nas do raju. Rząd obmyślił dla nas inne roboty i wysłał nas do wsi Beklemieszówki, skąd mieliśmy rozpocząć budowę nowej szosy. Dopokąd roboty nie posunęły się daleko poza wieś, dotąd mieszkaliśmy we wsi, w domach na ten cel wynajętych, skoro jednak robota się oddaliła, trzeba było wyprowadzić się na step, tam budować sobie namioty i tam mieszkać. Nim jednak wieś opuszczę, chciałbym opisać pocieszne wydarzenie, jakie mnie tutaj spotkało.

W domu, w którym mieszkaliśmy, były trzy nadobne i urodziwe córki dawnego posieleńca Rosyanina. Otóż jedna z tych, której na imię było Sasza, zakochała się we mnie i to na zabój. Kochanie to było tak szalone, że ta dziewczyna nie żenowała się ani rodzi-

ców, ani żołnierzy i gdzie mnie tylko zobaczyła, to rzucała się do mnie i całowała! Doszło nawet do tego, że poprostu szła z nami do roboty i mnie pomagała. Wobec tego biedni rodzice sami mnie prosili, abym się z nią żenił, a że to byli ludzie zamożni, jak w ogóle na Syberyi włościanie, przeto dawali mi tyle pola, ile sam zechcę, dawali mi 100 koni, 50 owiec, dom nowy i 2000 rubli na zagospodarowanie. Lecz mój Boże kochany! cóż ja miałem z tem wszystkiem robić w tym kraju boleści i w tem pustkowiu? Żał mi było wprawdzie Saszy, która na sposób wschodni przywiązała się do mnie, jak pies przywiązuje się do człowieka, ale żenić się, tu pozostać, przyjąć prawosławie i zostać muzykiem — nigdy, przenigdy!

Gdyśmy się żegnali i mieli odejść na step, to mi Sasza śpiewała piosnkę, którą do dziś zapamiętałem:

„Nie ujeżdżaj gałubczyk mój,
Nie pokidaj strony rodnyje,
Tam ciebie wstretiuł ludy złyje,
Nie ujeżdżaj gołubczyk mój“.

Po polsku:

„Nie odjeżdżaj gołąbku mój,
Nie porzucaj stron rodzinnych,
Bo tam napotkasz złych ludzi,
Nie odjeżdżaj gołąbku mój“.

Z tego widać, że serc gorących niekoniecznie szukać trzeba aż we Włoszech, że mróz, choćby i 40-stopniowy, nie zamraża Sybiraczkom serc gorących.

Wieś Beklemieszówka leży nad jeziorem, które obejmuje dwanaście mil kwadratowych przestrzeni. Połów ryb na tem jeziorze należy do tych wiosek, które leżą po jego bokach, lecz mieszkańcy za połów rządowi nie nie płacą.

Opiszę moim czytelnikom taki jeden połów, którego byłem świadkiem:

Na z góry oznaczony dzień zjeżdżają się Buryaci, Tunguzi i posieleńcy w pewien umówiony punkt, jedni na telegach łądem, a inni zaś na łodziach lub czółnach, czem kto może i ma. Towarzystwo to, przywozi jeziorem na ogromnej łodzi ogromnych rozmiarów niewód. Niewód ten pleciony jest ze szpagatu grubego i ma długości co najmniej trzysta sążni! Zapuszczają go na parę mil od brzegu a liny obu końców przywożą na łodziach do brzegu, i tak ciągną. Do każdej liny staje co najmniej po sto ludzi. Z tyłu i boków niewodu, gęsto uwijają się łódki i czółna, których zadaniem jest, straszyć i naganiać ryby w niewód. Matnia tego olbrzymiego niewodu ma co najmniej ze trzydzieści sążni.

Zachwycający to jest widok! W miarę zbliżania się niewodu ku brzegowi, ci co matnię pilnują, muszą baczyć, aby ryby olbrzymie nie próbowały matni przeciąć, to też każdy taki naganiacz uzbrojony jest w osć, lub żerdź a nawet i pałkę, którą to bronią biją i kołają i głuszą ową rybę w matni, muszą być przytem zręczni, zwinni i wioślarze znakomici, by przy tem borykanii nie wypaść z czółna.

Nareszcie końce niewodu już na brzegu, wtedy baczność! Wtedy wszyscy i wielcy i mali pilnują, a każdy trzyma pałkę w ręku, ciągną coraz bardziej, coraz szybciej, bo ryby moc; największa uwaga jednak na matnię, tam dzieje się coś nadzwyczajnego, tam ryb pełno! Ci co są z tyłu, teraz pracują z całych sił, i biją i kołają, a ryba się przewala, brotoć błyszczy i chrzęści, więc krzyk i wrzawa i zamieszanie, już i w wodę powskakiwali, obejmują rękami i pomagają, bo liny trzeszczą i niewód trzeszczy, bo matnia pełna ryb! Wydobyli i obstąpili wokoło, bo ryby skaczą i próbują nazad się dostać, ale to daremne. Ryb okopa, sterta! Teraz

następuje podział, biorą najprzód rybę wielką i średnią, mała zaś miała czas uciec przez calowej wielkości oczka niewodu. — My kupowali z tej kupy, która od podziału pozostała jako braki i płaciliśmy dwie kopiejki za szufłę kopiata.

Tutaj również miałem sposobność zapoznać się z koczowniczym życiem Buryatów i Tunguzów. Życie to ich stepowe, zbliżone jest do życia naszych cyganów węgierskich, dzisiaj tu, a jutro tam. Dziś widzisz cały szereg jurt poustawianych obok siebie, a za parę dni wszystko to znika. Jurta jest to rodzaj namiotu, ustawionego na trzech w trójkąt wbitych w ziemię żerdziach i obwiniętego wojłokiem. Wojłok jest to sukno filcowe, grube na cal. W czubku owego trójkąta jest dymnik i kociołek utwierdzony, który wisi nad ogniskiem w jurcie. Pod tym kotłem pali się dzień i noc ogień, niby w świątyni Znicza lub Westy, a w kotle gotuje się mięso ze zwierząt dzikich i domowych. Chleba ci ludzie nie znają. Do spania są tapczany i wory wojłokowe, do których włożą na spoczynek nocny. Ubrani są w kozuchy lato i zima, tak mężczyźni jako też i kobiety. Sławna jest ich wódka „kumys“, którą sporządzają z owczego nabiału przez fermentowanie, lecz nie wiem jak się to urządza. Na takiej uczcie tunguzko-buryackiej byłem, gdzie mnie raczono obiadem i kumysem. Obiad składał się z następujących specyaliów: Do kotła wkłada się mięso bydlęce, końskie, owcze, wszelką dziczyznę i wszelki drób, to wszystko zalewa się mlekiem tak krowiem jak i owczem i tak się gotuje. Po ugotowaniu, gospodyni wybiera mięso, obskubuje rękami od kości, układa na tapczanie i zaprasza gościa, aby jadł. Choćbyś jednak był głodny jak wilk, to skoro spojrzysz na jej ręce, nigdy nie myte, i na jej paznokcie

nigdy nie obcinane, to chęćka cię ominie i apetyt się gdzieś podzieje. Zato ów bulion jest wyborny i bardzo pożywny. Żenady niema żadnej; tutaj w jurcie chodzą wszyscy nadzy, tak mężczyźni jak i kobiety, a nawet i dorodne dziewice.

Tutaj dla estetyka lub miłośnika przyrody, cudne roztaczają się widoki!...

Skoro już zacząłem pisać o estetyce, muszę zapoznać czytelnika i napomknąć co nieco o mitach, muszę napisać o mitologii Tunguzów i Buryatów. Tunguzi i Buryaci są wyznawcami Buddy, jakem to już był raz wspomniał. Założycielem i zakonodawcą Buddyzmu był Gautama, książę z plemienia Szajkjów, urodzony na 623 lat przed Chrystusem. Gautama był wielkim filozofem, a przez rozmyślanie nad znikomością i marnością życia ludzkiego, doszedł do przekonania, że wszystko jest nicością. Aby dojść do Nirwany, do doskonałości wszelkiej, trzeba być istotą wolną od trosk i cierpień, trzeba zapanować nad materią. Taka jest nauka Gautamy-Buddy, który nie nazywał się Bogiem, lecz tylko uczonym i filozofem, a jednak osiągnął swój cel i ma dziś 500 milionów wyznawców.

Otóż owe plemiona, jak zresztą wszystkie wschodnie plemiona, mają bogatą mitologię i dużo bożyszczy. W każdej jurcie stoją poustawiane bożyszcza na półeczkach; są to mosiężne figurki różnej personifikacji, jedne stoją, inne leżą a inne schylone, inne zgięte, jedne coś trzymają w rękach, inne coś piją a inne jedzą. Są to bożyszcza światła, ciemności, gorąca i zimna, mokra i posuchy, wiatru i ciszy, są bożyszcza bydła, koni, mleka, ryb, ptactwa i t. p., słowem wszystkiego.

Jeżeli o co proszą, to do podstumentu, lub nawet wprost do ust bożyszcza wkładają to, czem on się opiekuje: jeżeli wodą to wodę, jeżeli mlekiem to mleko wlewają lub karmią prosząc, aby to lub owo się stało.

Biada jednak bożyszczu, jeżeli na te prośby i traktamenta pozostanie nieczułe! wówczas zrzucają go na ziemię i ćwiczą różgami!

Na piersiach też noszą jakieś amulety i bożyszcza straszne o siedmiu głowach! Tyle o mitach i ludach tutejszych na stepach żyjących, a teraz w knieje leśne zajrzyjmy i zapoznajmy się z tutejszem polowaniem.

Na całej kuli ziemskiej niema chyba takich lasów jak lasy syberyjskie! Tutaj knieje leśne ciągną się setki mil! Tutaj od stworzenia świata jeszcze nikt się nie poważył zapuścić w te bory. Tutaj drzewo leży na drzewie i tak gnić musi, tu człowiek utonąłby w samych liściach! Tu zwierz dziki nawet się nie zapuszcza, ale trzyma się krawędzi lasu. W takie to lasy jadą tubylcy na polowanie, które właśnie chcę opisać.

Wyprawa ta składa się ze stu teleg w pojedynkę zaprzągniętych. Gdy już odbili od leśnej krawędzi na mil parę, wówczas około dziesięciu pozostaje przy koniach i telegach a myśliwi idą i idą, idą dokąd się da.

Gdy już dalej iść nie można, gdy już w próchno i liście zapadają się po kolana, gdy drzewo leży na drzewie i wszelki tamuje przystęp, ścinają drzewa na równej linii i urządzają rodzaj gilotyny: zawieszają ucięte drzewo poziomo, i urządzają takie samotrzaski: pomiędzy drzewem a ziemią wyciągają szpagat, który za lada poruszeniem strąca drzewo poziomo zawieszone i przytłacza to, co się pod drzewem znajduje. Gdy tak samotrzaski na przestrzeni milowej urządzają, wówczas zachodzą ogromne koło, straszą i płoszą wszelką zwierzynę i naganiają do owej gilotyny, do owego samotrzasku. Zwierz lecąc, musi podlażyć pod drzewo poziomo wiszące, musi zawadzić o szpagat, a wówczas drzewo spada i swem ciężarem go przywala. Z takiego

polowania przywożą do 300 sarn, z 50 lisów, wilków kilkanaście, a nieraz się trafi i niedźwiedź.

Tylem skorzystał wydostawszy się po latach kilku z *tiurmy* na życie więcej swobodne, lecz czas mi już powrócić do swego namiotu i przystąpić do opisu terazniejszych robót. Roboty nasze przy budowie nowej szosy były przymusowe i ograniczone, to znaczy, że to, co kto miał wyznaczone, musiał wyrobić. A więc: każdy miał odmierzonych cztery sążni bieżącej długości, bez względu na to, czy kto trafił na kamienie, czy na drzewa! Powierzchnia o długości tych czterech sążni miała mieć jeden sążeń szerokości górą, rów miał być na dnie na łokieć szeroki, a 30 cali głęboki. Ziemia zaś z rowu miała być zniwelowana według wysokości paliaków przez inżyniera ustawionych. Jeżeli kto był o tyle szczęśliwy, że dostał ziemię miękką, to bajki, ale komu dostały się drzewa lub kamienie, to żeby pęknąć, to nie był w stanie wybrać. Ponieważ jednak nie każdemu dostawały się kamienie i drzewa lub inne przeszkody, przeto ten kto pierw wyrobił, pospieszał na pomoc temu, co nie mógł się uporać, i tak szło z dnia na dzień, gdyż u nas w ogóle panowała wielka solidarność i hasło: „jeden za wszystkich a wszyscy za jednego!“

Jednakowoż wskutek ustawicznego trzymania łopaty w dłoniach i ustawicznej roboty, czy to pogoda czy słońce, mnie samemu zlaźło więcej jak sto skór z dłoni wskutek odparzenia od trzonka, a pod każdym palcem porosły twarde bąble wielkości orzecha! Namioty w polach budowaliśmy tak dla siebie, jak i dla wojska, które nas strzegło. Szliśmy z wojskiem do lasu i obdzierali każde drzewo z kory i nosili na plecach do obozu. Jedni znosili korę, inni słupki, a inni stawiali namioty czyli szałas. Gdy przyszła jednak jesień,

gdy zapanowały śloty, zimna i przymrozki, o wtedy była bieda! Wiarusy nasi zapadali na febrę, tyfusy i szkorbuty, wielu odwieziono do szpitali a reszta robiła dotąd, dokąd mróz nie zwarzył ziemi. Do tych siedmiu plag egipskich przyłączyła się ósma plaga, a tą było robactwo! Wskutek ciągłego przemakania, odzież nasza formalnie gniła na nas, bo nie było jej gdzie wysuszyć. Robactwo rzuciło się na nas i chciało nas zjeść!

Ktoby podolał wszystko spać i wszystko to opisać, czego człowiek tam nie doznał, nie wycierpiał! A cóż dopiero mam mówić o postępowaniu przełożonych, o tych satrapach, pozbawionych uczuć wszelkich, o tych sądatach barbarzyńskich, podłych i dzikich — o! próżno siliłbym się na opisanie tego wszystkiego.

Gdy już mrozy zakuły ziemię i robić się już nie dało, zabrano nas i na roboty zimowe odstawiono do portu, do przystani nad rzeką Szyłką. Miejscowość ta nazywała się Murawiewskaja Gawań. Otóż kochany czytelniku, jeżeliś ciekawy doczytać się końca mojej biedy, to chodź jeszcze zemną na chwilę do owej nory, która się zwie Murawiewskaja Gawania.

ROZDZIAŁ XXIII.

Murawiewskaja Gawań.

Miejscowość ta jest położona w wąwozie, przez który przepływa rzeczka Sela, wpadająca do rzeki Szyłki. Rzeka Szyłka tworzy tutaj olbrzymią zatokę, w której drobnych statków parowych zimuje po kilka. Chociaż tutaj niema doku do naprawy statków, ale zato jest odlewnia parowa i stolarnia, która owe statki naprawia w razie potrzeby. Szyłka jest rzeką dużą i nawigacyjną. Żegluga rozpoczyna się od Nerczyńska i idzie z biegiem rzeki Szyłki, która następnie łączy się z rzeką Amurem i tak już krajem amurskim płynąc, wpada koło Mikołajewska do morza Ochockiego. Najbliższe miasto powiatowe Murawiewskiej Gawani jest miasto Stretieńsk. Do tej to miejscowości przybyliśmy w piątym roku naszego tułactwa.

Komendantem Murawiewskiej Gawani był podówczas niby Polak, niby Litwin niejaki Rozgracki, pułkownik, a setnikiem, czyli kapitanem kozaków, był rodowity Litwin, Daniłowicz. Ci dwaj dygnitarze nie byli ani dobrzy, ani źli, ot jak zmoskwiczeni Polacy. Czasem wpadali w złość piekielną, a wówczas besztali i grozili nam, że nas mają prawo zasiękać, powiesić, rozstrzelać, drzeć z nas pasy i t. p. Jakoż dużo było

w tem prawdy, bo trzeba wiedzieć, że każdy taki komendant nad aresztantami w Syberyi jest panem życia i śmierci i choćby wszystkich kazał pomordować, to i tak włos by mu z głowy nie spadł! Była tu jeszcze jedna figura urzędowa, a to był pan inżynier rządowy, Lavet, Anglik z pochodzenia, lecz ten się zachowywał neutralnie. Ponadto wszystko, był tu jeszcze tak zwany nastawnik, t. j. dozorca, Szwed, Karł Karłowicz. Ten to Szwed był prawdziwym łotrem i prawdziwym knutem w rękę kata! On wydzielał nam roboty, on odbierał, on dozorował, on szpiegował i denuncyował.

Mrozy tu panowały straszne. Do roboty chodziliśmy do portu i robili około owych statków, jedni je rozbierali do naprawy, inni wyrębywali lody naokoło. Mróz był tak wielki, że całą zimę termometr Celsjusza pokazywał 42 stopnie poniżej zera! Gdyś rano wyszedł z mieszkania, to formalnie dławiło cię w gardle i nie mógłś oddychać. Mgła panowała dzień po dniu, a tylko w południe zarysowało się koło jak tęcza w okolicy słońca. Płatki śniegu wiecznie leciały na ziemię a upaść nie mogły, tak rzadkie było powietrze! Płatek taki gdy upadł na gołe ciało, to robił ten sam skutek co ogień! Ubranie nasze składało się z dwóch korzuchów, spodni sukiennych, butów czyli owych katów, do których się wzuwało 7 łokci onuczek sukiennych, czapki futrzanej i maski wołkowej na twarz. Pod tą maską, wskutek oddychania, tworzyła się bryła lodu, gruba na cal! Trzeba być dłuższy czas w tym klimacie, aby się zaaklimatyzować i do tego zimna przywyknąć, ale gdyby tak kogo od nas odrazu tu przeniesiono i kazano mu tem powietrzem odetchnąć, toby trupem padł!

Były i inne roboty portowe, a mianowicie: rozkopywaliśmy i rozszerzali port, niwelowali góry i brzegi, robili nasypy lub szkarpy, słowem roboty tutaj było na lata i dla setek ludzi. Prócz tych robót, były jeszcze

roboty i pod dachem i w fabryce, ale do tych używano już ludzi fachowych: kowali, ślusarzy, stolarzy i innych rękodzielników, czasami jednak byli i inni potrzebni. Ja sam nieraz byłem przeznaczony do korby przy tokarni i musiałem tak cały dzień obracać, a była to praca nielada. W tych tutaj robotach przebywaliśmy dwa lata.

Moskale mają tę dobrą stronę, że jeżeli pewna partya tak się dobierze, iż jest spokojna, niczego nie żąda i w niczem nie oponuje, każdy robi co mu każą a nadewszystko nie buntuje się, wówczas dostaje przymiotnik *blahonadiożnej i smiernej* partyi. My sobie na takie miano zasłużyli, to też władza tutejsza w nagrodę owych zasług, kazała nam zdjąć kajdany. Nie możesz mieć kochany czytelniku pojęcia o tem, co się dzieje z człowiekiem, gdy mu zdejmą kajdany! on się dopiero teraz powtórnie na świat narodzi, jemu się robi lekko nietylko na nogach ale i na sercu, jemu się zdaje, że teraz na nowo ożył po jakimś letargu lub niemocy, bo uczuł się naraz silny i rzeźki, że zbrodniarza stał się człowiekiem! Taki szła nas ogarnął, gdy z nas opadły kajdany. Tę noc poświęciliśmy rekreacyi i śpiewaliśmy pieśni narodowe i patryotyczne.

Jest to fakt psychologiczny, że dokąd się nam źle powodzi, to dusza jakby nie istniała w nas, ogarnia nas jakaś apatya, obojętniejemy na wszystko, stajemy się idiotami, lecz niech się jeno nam odmieni na dobre, ha! zaraz i uszy do góry i fantazyja już inna. Tak było i z nami. Pogłoski zaczęły krążyć, że mocarstwa Europejskie domagają się naszego powrotu, że Moskwa nas terroryzuje, gnębi i uciemnia i do roboty zaprzęga, czego czynić nie powinna, gdyż nie jesteśmy jej poddani i t. d. Wobec tych wersyi duch u nas potężniał, zaczęliśmy więc śmiało występować i upominać się o to i owo, aż wkońcu odmówiliśmy posłuszeństwa i do

roboty nie poszli. Działo się to właśnie wówczas, kiedy to umyślny wysłannik carski z Petersburga jechał do nas w Sybir, aby nam przeczytać amnestyę. Tym carskim wysłannikiem był książę Oldenburg. Wskutek reklamacyi państw europejskich, starających się o uwolnienie swych poddanych, rząd rosyjski zmuszony był dać amnestyę dla wszystkich więźni politycznych, zagranicznego pochodzenia. Najwięcej było nas z Galicyi, czyli Austryaków, jak nas tam nazywano, następnie z Księstwa poznańskiego, a wreszcie byli Węgrzy, byli Francuzi, a nawet byli i Włosi.

Dla wysłuchania owej amnestyi, czyli najwyższej carskiej łaski, jak ją nazywano, kazano nam ubrać się w co miał kto najlepszego; zarządzono też poprzednio, aby każdy i to pod karą był w łaźni wymyć się i wykapać; kazano dalej, aby ci co nie noszą brody, byli ogoleni i ostrzyżeni, słowem, miała to być wielka parada i wielka uroczystość. Generał książę Oldenburg wystąpił w największej paradzie, w uniformie błyszczącym od złota i medali, wojsko prezentowało broń, a oficerowie trzymali w górę podniesione i błyszczące pałasze. Wówczas książę Oldenburg w gorących słowach opowiadał nam, jak to Najjaśniejszy Pan w swej najwyższej dobroci i łaskawości postanowił nas uwolnić i powrócić do swych rodzin i krajów ojczystych i jaką to dozgonną wdzięczność dla Najjaśniejszego Pana powinniśmy zachować za ten objaw Jego wspaniałomyślności i t. p. Po tej przemowie nastąpiło oficjalne odczytanie nam amnestyi.

Po ogłoszeniu amnestyi nastąpił zwrot niesłychany i w żadnem chyba państwie nie praktykowany! Oto książę Oldenburg wygłosił co następuje: „A ponieważ nie zachowywaliście się *blahonadiożnie* (przyswoicie), przeto nie będziecie zaraz korzystać z ogłoszonej wam amnestyi, lecz zostanieie powtórnie zakuci w kajdany

za nieposłuszeństwo i będziecie za karę pracować jeszcze przez trzy miesiące, a gdybyście się jeszcze poważili zbuntować, to zatrzyma się was jeszcze rok!”

Tak więc znów przy brzęku i dźwięku muzyki kajdanowej, rozpoczęliśmy roboty, ale daliśmy sobie słowo, aby przez te trzy miesiące, nikt nie oponował, nikt nie poważił się zrobić jakiej burdy, która by nas znów dłużej zatrzymała, bo każdemu było spieszo do ziemi ojczystej wracać, którą ile się kocha, „ten tylko się dowie, kto ją utraci“.

ROZDZIAŁ XXIV.

P o w r ó t.

Nie myślę już powracać do owej Golgoty, ani opisywać owej drogi krzyżowej, powiem już krótko, że po odpokutowaniu trzechmiesięcznej nałożonej nam kary zato, żeśmy wysłuchali amnestyi zwalniającej nas od dalszych kar i pozwalającej nam wolnego powrotu do Europy, uwolniono nas nareszcie i z wielką niechęcią kazano nam zdjąć kajdany. Powrót taki z Syberyi, jeżeli dokonywa się kosztem rządowym, trwa nadzwyczaj długo, bo jeżeli tam idzie się 18 miesięcy, to z powrotem drugie tyle! Każda taka powracająca partya idzie tak samo etapowym porządkiem, konwojowana przez tych samych etapnych żołnierzy i swe noclegi nie gdzieindziej, ale w etapach musi odbywać. Ponieważ, jak to już nadmienilem, partye wysyłane są w Sybir co tydzień, więc ci co powracają muszą cały tydzień czekać bezczynnie na pełnych etapach nadejścia partyi, który konwój bierze znów tych powracających i do swojego etapu prowadzi poto, aby tu znów przeczekać tydzień na nadejście nowej partyi. Wobec tego zachodzi mimo woli pytanie, co lepiej, czy podróżować na Sybir, czyli powracać do kraju? to jest złe, a to jeszcze gorsze. Na szczęście jednak nasze rząd moskiewski ze wszystkiego

umie korzystać, to też i nam dał do wyboru: czy chcemy powracać na koszt rządu, t. j. etapem, czyli chcemy odjechać na swój koszt. Łatwo to jednak było powiedzieć, ale nam nie łatwo było wykonać, gdyż mało było nas tak szczęśliwych, zwłaszcza zagranicznych poddanych, którymby rodziny z kraju mogły przysłać takie sumy pieniężne, któreby wystarczyły na opłacenie poczt i kolei na przestrzeni 2.000 mil! Na to trzeba było mieć setki rubli, których nasz brat nie posiadał. To też my prawie wszyscy zagraniczni poddani, do których się owa amnestya odnosiła, zgłosiliśmy powrót na koszt rządowy i mieliśmy w perspektywie całe lata przed sobą powrotnej podróży.

Ze wszystkich powracających Galicyan, ja jeden miałem to szczęście, że przejechałem tysiąc mil przestrzeni syberyjskiej, nie mając ani kopiejki przy swojej duszy! Rzecz miała się tak: Podróżując z powrotem etapnym porządkiem, mieliśmy dużo czasu wolnego, z którym nie wiedzieliśmy co począć, więc w każdym większym mieście wałęsaliśmy się i zbierali rozmaite wiadomości od rodaków, których tu w każdym większym mieście jest dość, i są dorożkarzami, lokajami, kucharzami, ogrodnikami, felczerami, lekarzami i czem kto może. Oni byli naszymi pośrednikami, oni ułatwiali nam zakupno prowiantów, gdyż żołąd otrzymywaliśmy tygodniowy, t. j. od jednego do drugiego etapu, oni też znając stosunki miejscowe, udzielali nam nieraz cennych wiadomości. Otóż, gdy tak raz wałęsam się dla zabicia czasu po Irkucku, nadybałem rodaka, który, oby wiecznie żył, zaczął mi rozpowiadać, że jest lokajem u państwa Samojłów, że ten pan Samojłow jest komisarzem i że właśnie teraz otrzymał posadę, czyli też, że go przenoszą z Irkucka na ową posadę aż hen do Rosyi, aż poza góry Uralskie, aż do miasta Permy, i że on bardzo by im był potrzebny w tej dalekiej po-

dróży i chętnie by go wzięli, ale jemu nie wolno wydaleć się z Irkucka i t. d., a wkońcu zaproponował mi, abym się z nim udał do państwa Samojłów, przedstawił się jako austriacki poddany powracający do kraju z przywróceniem wszelkich praw, ofiarował im swoje usługi w podróży, i że oni mnie z pewnością wezmą, a tym sposobem pozbędę się etapu, będę miał wygodną jazdę i będę mógł w krótkim czasie być w ojczyźnie.

Komu by też podobna propozycja i w takich warunkach nie była przypadła do smaku, i kto by też nie zechciał korzystać z nadarzającej się sposobności? Więc też i ja nie wiele myśląc i nie wiele mając do stracenia, udałem się zaraz do państwa Samojłów, aby się przedstawić, oraz zapytać, ile w tem opowiadaniu lokaja jest prawdy.



ROZDZIAŁ XXV.

P a n S a m o j ł o w.

Państwo Samojłow byli przed laty kilkunastu za jakieś wykroczenie w drodze dyscyplinarnej zesłani do Irkucka, a ponieważ główny winowajca, to jest stary Samojłow umarł w Irkucku, przeto pozostałej wdowie wraz z 25-letnim synem i córką lat około dwunastu dozwolono było wnosić podania i prośby do wyższych władz o przeniesienie ich napowrót w strony rodzinne; jakoż istotnie otrzymał syn posadę w rodzaju komisarza w mieście Permie. Młody Samojłow był to dorodny mężczyzna, wzrostu słusznego i bardzo ujmującej powierzchowności; był to typ prawdziwego szlachcica, Rosyanina, zasad liberalnych, z wykształceniem europejskiem, które w Irkucku otrzymał. Matka zaś, była to staruszka, która smętnie wiele wycierpiała w życiu a tem samem miała czułe serce na nędzę ludzką. Córka *Sasza* (Stanisława), był to podlotek melancholiczny, chorowity, a choć urodzona w Irkucku, to jednak była antypodem i nie mogła się zaaklimatyzować.

Gdym przybył do państwa Samojłow, była to pora poobiednia i wszystkie te trzy opisane osoby zastałem w salonie. Zostałem bardzo grzecznie przyjęty, a po przedstawieniu się i wyjaśnieniu powodu mej wizyty,

zaczęto mnie troskliwie egzaminować w jakich więzieniach przebywałem i do jakich mnie używano robót, a że byłem obcokrajowcem, przeto i większą wzbudziłem dla siebie sympatyę. Pani Samojłow z wielką subiektywnością oświadczyła mi, że jakkolwiek bardzo byliby mi radzi i najchętniej zabrali ze sobą, to jednak obawiają się, czy wymaganie ich nie będzie dla mnie za przykre lub upokarzające, a jednak tylko pod tym warunkiem umowa może być zawarta. Na zapytanie moje, jakie by to być mogły owe tak uciążliwe warunki dla mnie, którym ja nie mógłbym podołać, usłyszałem odpowiedź: „Tę oto dziecinę moją, Saszę, musiałby pan znosić i wynosić na każdej stacyi pocztowej“. A ja zaś na to: Pani! jeżeli tylko o to chodzi, to ja gotów jestem nietylko córkę, ale i panią znosić i wynosić. — Umowa zatem stanęła i ja zgłosiłem do władzy, że jadę na swój koszt, dano mi zaraz certyfikat, że jako poddany austriacki z przywróceniem wszystkich praw powracam na wolnej stopie do Europy. Po otrzymaniu tego dokumentu, udałem się zaraz do państwa Samojłow i wkrótce wyjechaliśmy z Irkucka.

Jechaliśmy sańmi, gdyż była pora zimowa. Wikł miałem wyśmienity i humor wyborczy, a chociaż jechałem na osobnych saniach z rzeczami, to jednak na popasach i noclegach, opowiadałem różne epizody w sposób humorystyczny i było nam z tem dobrze i wesoło czas mijał. W ten sposób z państwem Samojłow ujechałem około 700 mil, co w Rosyi nie jest rzeczą dziwną, jeżeli urzędnika przenoszą czasem tysiące mil! W Rosyi niema nic niepodobnego, tam gdyby ci kazano samemu wylać wodę z morza, to masz odpowiedzieć: *haraszo!* A skoroś poszedł, wyspał się i nic nie zrobił, to jednak zdając wieczór raport, gdy opowiesz żeś był, robiłeś co sił starczyło, ale wszystkiemuś nie podołał, to znów usłyszysz *haraszo* i dostaniesz po-

chwałę, a może i *chrest*! Taka metamorfoza i takie przeobrażenie działo się ze mną w Syberyi, tam jechałem jak na śmierć w kajdanach, w łachmanach, z tuzem na plecach, wynędzniały, jak upiór i jak wampir krwi cheiwy! ludzie płakali, psy wyły nad moim losem, a z powrotem jechałem ekstra-pocztą i ci sami Moskale kłaniali mi się, co dawniej kułakowali, widać że mam szczęście i w czepku musiałem się rodzić.

Tak jadąc przez dwa miesiące, przybyliśmy do Permy. Perma jest to duże i gubernialne miasto. Państwo Samojłow tyle znali miasto, co i ja. Mnie jednak daleko łatwiej było się zorientować w mieście, aniżeli im, bo tutaj było również wielu Polaków, którzy mi wszelkich informacyi udzielali. Najpierw zajechaliśmy do hotelu. Ja na usilne prośby pana Samojłowa, udałem się w miasto, aby wyszukać lokal, co mi się też przy pomocy rodaków udało. Był to dom drewniany obszerny, o czterech pokojach, kuchni i piwnicy, do któregośmy się też zaraz wprowadzili. Następnie musiałem się zająć umeblowaniem i całem urządzeniem wewnętrznem, czem tak ująłem sobie tę tak zacną rodzinę, że nie chciała mnie puścić od siebie i stanowczo mi oświadczyła, że dotąd mnie nie puszczą, dokąd nowa sposobność dalszej jazdy mi się nie trafi. W ten sposób nie meldując się u władzy, bawiłem w Permie cały miesiąc, wypytując się, czy kto z tutejszych dygnitarzy nie wybiera się do Rosyi. Jakoż dowiedziałem się od kolegów Polaków, którzy byli u pewnego jego-mością w obowiązku, że niejaki pan Krupiennikow, tajny radca Jego ces. i kr. Mości, ma jechać do Niżno-Novogrodu na roczny jarmark. Nie namyślając się tedy ani chwili, udałem się wprost do owego pana i wysokiego carskiego urzędnika z podobną propozycją usług, jak i państwu Samojłow. Sprawa jednak z panem Krupiennikowem nie była tak łatwa, tu o audyencyę było

niezmiernie trudno, pan Krupiennikow sypiał do południa, potem jadł śniadanie, potem przyjmował raporta, potem gości; wydawał ciągle bale, rauty, zabawy, słowem, jego ekscellencya nie miał nigdy czasu i był dla mnie nieprzystępnym. Po długich i codziennych moich wizytach i przy pomocy jedynie rodaków, kamerdynerów, udało mi się uzyskać audyencyę, która o tyle była dla mnie pomyślną, że usłyszałem z ust jego ekscellencyi słowo: *haraszo*!

Serdeczne było moje pożegnanie z ową tak zacną i tak szlachetną rodziną państwa Samojłow, spłakaliśmy się wszyscy! Dziś jeszcze, choć po latach tylu, składał im na tem miejscu serdeczne: „Bóg zapłać!“ Była to prawdziwie zacna i szlachetna rodzina i oby im Pan Bóg wynagrodził to, co oni dla mnie uczynili i co ja od nich doznał dobrego! Po serdecznem tedy pożegnaniu z państwem Samojłow, przeniósłem się na kwaterę do Jego Ekscellencyi Krupiennikowa.

ROZDZIAŁ XXVI.

Pan Krupiennikow.

Jego Ekscellencya i tajny radca, pan Krupiennikow, nie był niczem innem, jak tylko zmoskwiczałym Polakiem, nazywającym się Krupiński. Ten człowiek dorobił się olbrzymiej i milionowej fortuny z kart. Był to szuler na wielką skalę! On miał swoje kamienice w Irkucku, Omsku, Permie, Odesie, Moskwie, Petersburgu i Warszawie. Jeździł ciągle z miejsca na miejsce, wygrywał sumy bajeczne, żył po książęcemu, dawał pić. Do swej wysokiej rangi i orderu przyszedł następującym sposobem: W Moskwie na cześć cara z powodu jakiegoś zamachu nihilistycznego urządził dla całej Moskwy bal, po jednej tedy stronie pryncypalnej ulicy kazał ustawić całe beczki z wódką, arakiem, nalivką, piwem i winem, a zaś po drugiej stronie, zakąski, a więc: chleby, bułki, pierniki, szynki, słoniny, salcesony i kielbasy, a w pośród tego sto muzykantów, którzy mieli wygrywać narodowe tańce. Biesiadnicy mieli jeść, pić i mieli krzyczeć *hura!* niech żyje *batuszka nasz gosudar, car!* Skutek był znakomity i cel w zupełności osiągnięty, albowiem na drugi dzień zebrała policya prócz dwunastu koszy ułamków, także i dwadzieścia trupów bojarów, którzy się na śmierć zapili! Za ten czyn wiernopoddańczy został pan Krupien-

nikow powołany do godności tajnego radcy, został ekscellencyą, a w dodatku, został udekorowany krzyżem św. Jerzego! Tak to gosudar-imperator nagradza tych, którzy mu wiernie służą.

Gdy mi się udało, i to z wielką biedą, uzyskać tak upragnioną audyencyę, zastałem pana Krupiennikowa w gabinecie na perski sposób urządzonym. On sam w perskim szlafroku, złotem szamerowanym, siedział przy stoliku naprzeciw lustra a przed nim leżały stosy kart, z którymi robił ćwiczenia. Był to mężczyzna lat 45, wzrostu dużego, barczysty i silnie zbudowany, twarzy olbrzymiej, czarnego zarostu. Śnać wahał się, co ma ze mną zrobić, bo widocznie bał się, aby go nie posądzono, że sprzyja Polakom! Lecz gdym mu oznajmił, że dotąd aż z Irkucka przyjechałem z państwem Samojłow, wówczas dopiero powiedział do mnie tylko to jedno słowo; *haraszo!* Lokajowi zaś polecił, aby mi oznajmił jego niezłomną wolę, że mam się natychmiast do niego sprowadzić i polecił zaraz opróżnić mi pokój. Po przeprowadzeniu się mojem, mieszkałem jeszcze dwa tygodnie, opływając we wszystko, aż naraż w nocy zbudzono mnie, że wyjeżdżamy.

Co za wrzawa, jaki rumor, jakie zamięszanie, trudno opisać. Lokaje i służba potraciła głowy, wszystko to latało i wszystko to pan Krupiennikow beształ. Jechaliśmy w pięciu saniach. W pierwszych on z żoną, na dwóch pełno kufrów i pak, na czwartych kucharz między rądlami, a na piątych ja i dwie pokojówki między piernatami. Na kozle zaś obok furmana kozak, który miał nahajką usuwać, co by na drodze zawadzało. Gdy już wszyscy byli na swoich miejscach, wówczas pan Krupiennikow zapytał się o mnie i już z nim więcej nie mówiłem, aż przed Niżno-Nowogrodem. Przed Niżno-Nowogrodem oświadczył mi, żebym się nie oddalał, że on mi numer w hotelu wyznaczy i że mam tak

długo pozostać, aż on mi da znać o dalszym moim wyjeździe. Jakoż nie spieszyło się panu Krupiennikowi z moim wyjazdem.

Na górze w hotelu ciągle bale, rauty i zabawy, muzyka grała i goście się bawili i grali w karty. Raz podczas takiej zabawy w nocy, poszedłem na piątro i w kurytarzu przysłuchiwałem się muzyce fortepianowej, wtem wychodzi Krupiennikow i pyta mnie co ja tu porabiam? a ja mu na to oświadczam, że fortepian mnie tu przyciągnął, gdyż i ja jestem muzykalny. Na to moje niewinne wyznanie, Krupiennikow porwał mnie i wprowadził na salę pełną gości dobrze podchmielonych, przedstawiając, że jestem Austryak, i że on mnie tutaj przywiozł z Permy i że dalej nie mam o czem jechać i dlatego to on prosi zebrane tu *naczalstwo*, aby mnie bez żadnych trudności odesłało koleją na koszt rządowy do Warszawy. Nie potrzebuję dodawać, że takiemu krezusowi, który tak dobrze dawał jeść i pić, wszyscy obecni dygnitarze przyrzekli, że się mną zaopiekują i że skoro mam takiego protektora, to już ani włos mi z głowy nie spadnie. Wkońcu nalegał koniecznie Krupiennikow, abym coś na fortepianie zagrał, nie pomogło tedy ani tłumaczenie moje, że już tyle lat fortepianu nie widziałem, musiałem siadać. Wtedy porwała mnie ochota zagrać: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Lecz wkrótce się zreflektowałem, że mógłbym tym sposobem Krupiennikowa w przykre położenie wprowadzić, przeto zamiast „Jeszcze Polska nie zginęła“, zagrałem Marsylianę! Na odgłos Marsylianeki obstąpili mnie dokoła, zaczęli śpiewać, podano wina i kazano mi pić, i wśród tego zamętu wyniosłem się cichaczem, bo tu nie miałem więcej co robić. Tak mi przeszedł ostatni wieczór u pana Krupiennikowa.

Na drugi dzień Krupiennikow przysłał po mnie lokaja i oznajmił mi, że wczorajszy wieczór zrobił mu

wielkie ukontentowanie, że my Polacy możemy Moskalom zaimponować swoją wyższością moralną, choć nas kryją łachmany, ja zaś podziękowałem mu za wyświadczone mi dobrodziejstwo i pożegnawszy się tak z nim, jak i z panią Krupiennikow, udałem się do komendanta miasta, który niezwłocznie odesłał mnie na kolej. Pan Krupiennikow pozostał w Niżno-Nowogrodzie na wielkim jarmarku, który tu trwa przez dwa miesiące, aby próbować swego szczęścia przy zielonym stoliku. W Moskwie ani w Petersburgu nie zatrzymywano mnie już długo, żeby mi daremnie żołądka nie dawać, lecz odstawiono do Warszawy. Tym sposobem przebyłem dwa tysiące mil bez żadnych zasobów materialnych. Coś podobnego może się praktykować w jednej tylko Rosyi!

ROZDZIAŁ XXVII.

W a r s z a w a.

W Warszawie miał już nastąpić koniec całej naszej biedy, to też Moskale tak, jakby żalowali, że się im tak łatwo wymykamy z ich szponów, próbowali, ale już po raz ostatni, dokuczyć nam. Umieszczono nas w więzieniu policyjnym, które w swoim rodzaju było gorsze od cytadeli. Więzienie to było brudne, ciemne, wilgotne; po ścianach ściekała woda, podłoga betonowa, piaskiem wysypana; stęchlizna, robactwo i wszelkie niechlujstwa szły na wyścigi. Po kilkudniowym pobycie w tej norze, wzięto nas i pod silną strażą odstawiono do konsulatu austriackiego. Gdyśmy przybyli do gmachu konsularnego, przyjęło nas wojsko austriackie, ułani, a Moskale pozostali za bramą. W kancelaryi przywitał nas konsul jako austriackich poddanych i oświadczył, że pod jego dachem nie mają już mocy do nas Moskale, ale i to oświadczenie konsula nie zawierało wiele prawdy, bo tuż za nami pojawiło się dwóch sztabowych oficerów moskiewskich, którzy mieli być obecni przy protokołach, które musieliśmy składać w konsulacie austriackim.

Protokoły te polegały na tem, że mieliśmy się wylegitymować tem, że istotnie jesteśmy austriackimi

poddanymi. Legitymacya ta nie była łatwą i kto nie był rzeczywistym Galicyaninem, ten mógł się bardzo łatwo zaplątać i dostać się napowrót w Sybir. Rozłożono mapę, do której zasiedli prócz konsula, także i owi sztabowi oficerowie rosyjscy. Najpierw pytano o miejsce urodzenia i o sąsiednie wsie lub miasta; pytano o odległość z tej miejscowości do tej, lub z tego miasta do tego; kto na to nie mógł odpowiedzieć, ten był zatrzymany, dokąd odpowiedź rządu austriackiego nie nadeszła potwierdzająca lub przecząca tożsamości osoby, przy sprawdzaniach na miejscu. Jeżeli kto posiadał szkoły, to znów pytano, w jakim mieście i do jakich klas uczęszczał, a nawet pytano, o nazwiska nauczycieli lub profesorów. Z tego widać, że nie łatwą było rzeczą wylegitymować się tym, którzy wracali pod pretekstem, że są austriackimi poddanymi. Wobec tego było kilka wypadków, że ten, kto nie był w stanie udowodnić swego pochodzenia, czy to jako Galicyanin, czy to Poznańczyk, był powtórnie odesłany na Sybir i na nowo miał rozpoczynać odsiadki kary, gdyż te, które już przebył, za karę mu przepadały.

Mój egzamin, pomimo wszelkich stawianych mi kruczków, musiał wypaść na moją korzyść, jako prawowitego Galicyanina, to też wkrótce po tem w towarzystwie ośmiu innych towarzyszy, odesłany zostałem w hańbiący i uwłaczający sposób, bo w sposób szupasowy do Krakowa. Tu się przejawia podła i nikiemna polityka rządu moskiewskiego w tem, że nie odesłał nas koleją, ale na urągowisko pokazał nas ludowi, jak ongi Piłat Chrystusa!... Przykry to był ten ów nasz pochod szupasowy, o wiele przykrzejszy w swoim rodzaju od tego wszystkiego, cośmy już przebyli! Ja też w tem miejscu skracam moje opowiadanie i na całą tę podróż zapuszczam zasłonę... nadmieniam tylko to, że w tej drodze zachorowałem i musiałem się udać do

szpitala św. Kazimierza w Radomiu, skąd pisałem do domu, prosząc o przysłanie mi pieniędzy, abym mógł koleją powrócić do Krakowa.

Na tem opowiadaniu powinienem już poprzestać, aby dalej czytelnika nie nużyć; to też już w krótkich słowach zakończę. Po dwutygodniowym pobycie w szpitalu radomskim odjechałem już koleją do Krakowa, gdzie przybyłem dnia 25. lipca 1869 roku i tegoż samego dnia oddałem legitymacyjne papiery konsulatu austriackiego z Warszawy c. k. władzy politycznej, jak również zameldowałem się w nowo utworzonym Komitecie wzajemnej pomocy Sybiraków, gdzie otrzymałem kartę legitymacyjną pod numerem 256, podpisaną przez przewodniczącego tegoż stowarzyszenia, niejakiego pana Bylickiego, którą do dziś dnia przechowuję jak najdroższą relikwię.

Göthe, ów wielki filozof powiedział, że:

Wszystko co ziemskie, co znikome, jest tylko *mi-tem*, a zaś to, co niedościgłe staje się *bytem*.

Ta apoteoza może też być zastosowaną do idei odbudowania Polski, wywalczenia dla niej *bytu*; ci zaś, którzy dla tej idei poniosą cierpienia lub śmierć, niech będą dla narodu polskiego owemi *mitami*, bo jak powiedziałem, że tylko cierpienia należą do człowieka, reszta — do ogółu.

Pisałem w Sadkach, w miesiącu maju 1904 r.

— K O N I E C . —

Imienny spis

tych wszystkich kolegów i towarzyszy niedoli, z którymi odbywałem katorżne roboty w Syberyi lub zapoznałem się w czasie podróży, a mianowicie:

Galicjanie.

1. Michał Miłosz Borecki.
2. Rudolf Rogoziński.
3. Gliniecki.
4. Bańkowski.
5. Zygmunt Zgórek.
6. Antoni Midowicz.
7. Jankowski.
8. Edmund Szulz.
9. Władysław Świszczowski.
10. Władysław Tański.
11. Władysław Roziecki.
12. Ferdynand Gajewski.
13. Henryk Chowaniec.
14. Władysław Pade.
15. Władysław Miecznikowski.
16. Apolinary Osiecki.
17. Władysław Wiskoda.
18. Ignacy Bielikiewicz.
19. Nikodem Fałęcki.
20. Zygmunt Zygarkowski.
21. Brocki.
22. Klemens Puza.
23. Józef Sitnicki.
24. Łukasiewicz.

25. Lubomir Zambasowicz.
26. Rużycki.
27. Józef Czechowicz.
28. Edward Stolz.
29. Antoni Czerwiński.
30. Władysław Baranowski.
31. Gliński.
32. Karol Królikiewicz.
33. Ant. Miernicki, rotmistrz.
34. Nowicki.
35. Olędzki.
36. Sielski.
37. Golian, major.
38. Lachowski.

Węgrzy.

1. Karol Naprawszky.
2. Draskowic, kapitan.
3. Bella.

Włosi.

1. Tunnelli, turysta.
2. Meoli, turysta.
3. Bordzio.
4. Kleryczy.
5. Dziuponi.

Francuzi.

1. Grames.
2. Die.
3. Monse.

Rosyanie.

1. Wołkow, student.
2. Wasiliew, student.

Koroniarze.

1. Aleksander Kostkiewicz.
2. Ks. Józef Tuszewski.
3. Stanisław Katerla.
4. Waleryan Dobrzyński.
5. Wielobycki.
6. Tadeusz Sitkowski.
7. Stanisław Ekerkunst.
8. Lemieszewski.
9. Godlewski.
10. Zabawski.
11. Twardzicki.
12. Ksiądz Korecki.
13. Dr Woźniacki.
14. Kowalski.
15. Zabielski.
16. Łapiński.
17. Kubicki.
18. Kostrzewski.
19. Kopiński.
20. Pogodziński.
21. Bratkowski.
22. Grudowski.
23. Ks. Włocki.
24. Kondracki.
25. Józef Sikorski.
26. Kozieracki.
27. Nowacki.
28. Peplowski.
29. Zarzycki.
30. Wasilewski.
31. Goldmann.
32. Borkowski.

33. Jaworski.
34. Wruciński.
35. Sokołowski.
36. Artecki.
37. Lemieszewski.
38. Strupczewski.
39. Puczyński.
40. Kościński.
41. Kobusiński.
42. Parwe, dyr. gab. zoolog.
43. Epsztajn, bankier warsz.
44. Ks. kan. Wisłocki.
45. Marczewski, inżynier miasta Warsz. i czk. rz. Nar.

Poznańscy.

1. Ludwik Zaremba.
2. Twardzicki.
3. Dobrzycki.
4. Górski.
5. Uznański.
6. Głębik.
7. Płaszynski.
8. Bystrzyński.
9. Rudnicki.
10. Kaliszewski.

Litwini.

1. K. Kobosko.
2. Konstantyn Kopuczewicz.
3. Kucharski.
4. Zacharski.
5. Grusiecki.
6. Świerczewski.
7. Grzybowski.
8. Czapka.
9. Krawczyk.
10. Werbachowski.
11. Uciński.
12. Sterpejko.
13. Paszko.
14. Kołodziejczyk.

15. Kostrzewski.
16. Długoszewski.
17. Przybylski.
18. Falendysz.
19. Urbankiewicz.
20. Józef Soroka.
21. Puzyna.
22. Konopka.
23. Skirgajło.
24. Soroka.
25. Hrabia Czapski.
26. Książę Gedroń.

Z Ukrainy.

1. Antoni Bełza.
2. Gibki.
3. Prokopowicz.
4. Łabanowski.

5. Grabowski.
6. Godliński.
7. Strupczewski.

Z Wołynia.

1. Józef Głowicz.
2. Czernikow.
3. Gajlewicz.
4. Kabanów.
5. Milczarek.
6. Ksiądz kan. hr. Stecki.

Ze Żmudzi.

1. Ksiądz Matraś.
2. Rogalis.

Ze Ślązka.

1. Maurycy von Ritter.



T R E Ś Ć.

	Strona
Wstęp	5
ROZDZIAŁ I. — Partyzant	7
ROZDZIAŁ II. — Rataje	10
ROZDZIAŁ III. — Kielce	15
ROZDZIAŁ IV. — Radom	18
ROZDZIAŁ V. — Cytadela	22
ROZDZIAŁ VI. — Kolej aresztancka	27
ROZDZIAŁ VII. — Petersburg	29
ROZDZIAŁ VIII. — Moskwa	31
ROZDZIAŁ IX. — Nizny-Nowogród	36
ROZDZIAŁ X. — Jazda dzień i noc	39
ROZDZIAŁ XI. — Talice	45
ROZDZIAŁ XII. — Tobolsk	48
ROZDZIAŁ XIII. — Etapem	53
ROZDZIAŁ XIV. — Irkuck	67
ROZDZIAŁ XV. — Bajkał	69
ROZDZIAŁ XVI. — Na Bajkale	72
ROZDZIAŁ XVII. — Kraj Zabajkalski	77
ROZDZIAŁ XVIII. — Szalona jazda	81
ROZDZIAŁ XIX. — Nereczyńsk	86
ROZDZIAŁ XX. — Kliczka	88
ROZDZIAŁ XXI. — Kara	93
ROZDZIAŁ XXII. — Beklemieszówka	98
ROZDZIAŁ XXIII. — Murawiewskaja Gawań	106
ROZDZIAŁ XXIV. — Powrót	111
ROZDZIAŁ XXV. — Pan Samojłow	114
ROZDZIAŁ XXVI. — Pan Krupiennikow	118
ROZDZIAŁ XXVII. — Warszawa	122
Imienny spis kolegów i towarzyszy niedoli w Syberyi	125